

Spis treści

Krzysztof Kubacki – „W drodze po wielkość - polityka zagraniczna”

Zbigniew Lignarski – „Nacjoprymitywizm – epidemia głupoty”

Daniel Kitaszewski – „O „Szturmie” bez skrupułów”

Maciej Wolski – „Wehikuł czasu”

Michał Szymański – „Horda patriotów”

Leon Zawada – „Nowa, Wielka Europa Środkowa”

Witold Jan Dobrowolski – „Zmierzch ludu krzyża – widmo Islamu nad Europą”

Michał Walkowski – „O renowację filozofii narodowej (przyczynek do odnowy fundamentów)”

Roch Witczak – „Reganbit – na pograniczu katolicyzmu i ezoteryzmu”

Aleksander Krejckant – „Nasza walka”

Tomasz Kosiński – „Georges Valois – Sorel i architektura społeczna”

Kacper Sikora – „Globalizacja kulturowa oraz jej wpływ na nasz naród”

Kacper Sikora – „Kwestia obchodzenia świąt i rocznic”

Aleksandra Radlak – „Opoki”

Aleksandra Radlak – „W przeddzień wojny”

Leon Drzewczyk – „Dziecięcy przewrót”

..

W drodze po wielkość - polityka zagraniczna

Nie potrafimy jako naród wyciągać wniosków z historii. W polityce zagranicznej jesteśmy naiwni, niszczą nas puste słowa, frazesy i ...historia. Tak dokładnie – historia. Przekładamy to co się wydarzyło kilkadziesiąt/set lat temu nad interesy państwa. Nie patrzymy pod względem interesów na to co możemy osiągnąć, patrzymy w historię i mówimy sobie tak – z tymi będziemy trzymać bo nam kiedyś pomogli, ale z tymi to już nie, wykluczone. I tak to wygląda, że zachowujemy się jak nadaśane dzieci w piaskownicy, a nie jak naród mający ponad tysiącletnią tradycję. Niektórym to może się podobać ze względu na znajomość przez naród historii. Jednak prowadzi nas to na manowce, a w pewnej chwili na „polu walki” zostajemy sami, bez naszych do niedawna „przyjaciół”, z ironicznymi oraz pogardliwymi uśmiechami naszych „przeciwników”. Takie podejście powinniśmy zmienić na bezwzględną realizację własnych interesów. W polityce zagranicznej nie ma stałych przyjaźni, państwo, które chce w danej chwili osiągnąć wyznaczony cel wejdzie w sojusz z drugim aby dopiąć swego, później stosunki między niedawnymi sojusznikami w krótkiej chwili mogą zamienić się we wrogość. Nie będzie w tym nic dziwnego, a takich przykładów w historii znajdziemy mnóstwo, bo dzieją się one także często na naszych oczach. Na arenie międzynarodowej zyskuje się poważanie i szacunek nie przytakiwaniem i wykonywaniem poleceń obcych stolic. Zyskuje się go elastycznością, możliwością dogadania się nawet i zyskania na tym z dotychczasowym „przeciwnikiem”. Używam cudzysłówów przy słowach „przeciwnik” i „przyjaciel”, ponieważ uważam, że w takim znaczeniu jakie występują one w normalnym codziennym życiu – w polityce zagranicznej nie ma dla nich miejsca.

Niestety u nas mylenie pojęć trwa w najlepsze i bardzo często przekładamy/bądź chcemy przełożyć znaczenie słowa przyjaźń z życia codziennego na politykę zagraniczną. Choć przecież tak niedawno honor i nasze zaufanie zaprowadziło nas nad masowe groby... Gubią nas emocje, a w polityce zagranicznej nie ma na nie miejsca. Rozpalona głowa i uczucia zawsze poprowadzą nas w złą stronę i zawsze będziemy krok za państwami potrafiącymi się tego pozbyć. Bardzo dobrze naszą naiwność przedstawił Stanisław Cat-Mackiewicz, który pisał w czasie II wojny światowej: *„Kraj nasz dotychczas sądzi, iż to, żeśmy poszli pierwsi, że nasza zgruchotana w pierwszych dwóch tygodniach armia, której nikt nie dał żadnej pomocy, winny w przyszłości zabezpieczyć nam Polskę w dotychczasowych przynajmniej granicach. Niestety rządy wielkich mocarstw myślą całkiem inaczej.”* I niestety nic się nie zmieniło – jesteśmy rozgrywani przez największe mocarstwa, które od czasu do czasu łechcą nasze łatwowierne ego, aby to później dla siebie wykorzystać. Myślimy, że jeżeli będziemy szli ślepo za państwami zachodnimi zyskamy coś od nich dla nas za wierną postawę, a jeżeli Ci nasi „przyjaciele” zachowują się w ostateczności inaczej jesteśmy straszliwie oburzeni. Taka jest polityka zagraniczna, takie są jej reguły – kto się do nich nie potrafi dostosować, będzie obrywał niemiłosiernie. Zasadę musimy zająć prostą, bez żadnej lojalności, z uśmiechem na ustach na zimno realizować swoją politykę zagraniczną. Też łechcąc ego, też zmieniając

sojusze, też wykorzystując. Brzmi brutalnie, ale polityka, a w szczególności ta zagraniczna nie jest dla osób o słabych nerwach.

W żadnym wypadku nie przekonują mnie mowy niektórych ludzi o straceniu szacunku do samych siebie, jeżeli mielibyśmy wejść w sojusz, który na pierwszy rzut oka wydaje się „mało moralny”. Proponowałbym tego typu wytwarzane uczucia zachować dla siebie i swojego życia prywatnego. W polityce zagranicznej nie ma miejsca na spokojne wartości i przyjemne życie rodzinne. To walka o pozycję i egzystencję swoich narodów. Brutalna walka pod zasłoną uśmiechów i pustych słów. Bardzo dziwią się Polacy, dlaczego to nie siedzimy w Mińsku przy stole w sprawie rozmów pokojowych na Ukrainie choć rzućmy na pierwszy front przeciwko Rosji robiliśmy wszystko co kazał nam Zachód. Dlatego tam nie siedzimy, bo zrobiliśmy swoje i już potrzebni nie jesteśmy. Poparliśmy w ciemno Ukrainę za nic, zepsuliśmy swoje i tak dotąd zimne stosunki z Rosją za nic, daliśmy się znowu zrobić Zachodowi i teoretycznie naszym wielkim sojusznikom – też za nic. Zostaliśmy wystawieni w puste pole, zamiast czekać i przeanalizować sytuację na zimno i dopiero później działać – nasze państwo poleciało ze swym ciałem pełnym uczuć poświęcając się ku chwale... no właśnie czego? Dziwi się naród, że przelewając krew w Afganistanie i Iraku nie doczekaliśmy się nawet symbolicznego zniesienia wiz dla nas przez Amerykanów. Wręcz zaczęto przez to pogardliwie pisać o Ameryce, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że to nasz problem. Wystawiając swoich żołnierzy na śmierć w imieniu cudzych interesów, zgodziliśmy się na to dobrowolnie, dlaczego USA ma za to nam coś ofiarowywać? Daliśmy się znowu ponieść naszej pustej naiwności i wierze w jakąś mityczną „przyjaźń” i „wierność” w polityce zagranicznej. Na szczęście nie skończyło się to wciąż tak tragicznie jak 70 lat temu. Naprawdę szanujmy się, szanujmy własne państwo! Wchodźmy do gry ostatni, bądź jako państwo przygotowane, mające plan do działania – nie wystawiając się na śmieszność. Miał rację Cat-Mackiewicz pisząc o II RP i Rydzu-Śmigłym, że *„był to więc system przepelniony najlepszymi życzeniami i uczuciami. Ponieważ mówił to, czego wszyscy chcieli, więc Polacy mieli do niego zaufanie, jako do wielkiego polityka. Zjawisko stale dające się obserwować w naszym narodzie.”* Nic się tutaj nie zmieniło, dlatego warto szczególnie w polityce zacisnąć mocno zęby i pójść wbrew swoim uczuciom – na pewno dobrze na tym wyjdziemy.

Wiele osób słysząc nazwy niektórych państw z góry przekreśla robienie z nimi interesów, wchodzenie w jakieś sojusze. Znowu w grę wchodzi emocje i szukanie oraz wyrzucanie sobie zdarzeń z historii. Pamiętajmy o jednym historia jest ważna, ale bardzo często schodzi ona na drugi plan w polityce zagranicznej. Nie jesteśmy jedynym narodem, który w swej historii ucierpiał i doznał krzywd od innych narodów. Jeżeli jednak uważamy się za naród wielki i też tak chcemy realnie myśleć o swoim państwie nie możemy odrzucać niczego w ciemno. Są ludzie śpiewający o tym, że z Niemcami nigdy nic, z Rosją nigdy nic, z Ukrainą tak samo, z Białorusią też nie bo przecież dyktatura jest be i w ogóle nie ma o tym mowy. Każde państwo chce osiągnąć wyznaczony cel – wtedy szukają wokół siebie długotrwałych bądź tymczasowych sojuszników, którzy też przy okazji tego „sojuszu” na tym zyskają. Jeżeli więc dostrzeżemy okazję, że przy nawiązaniu w danym momencie sojuszu czy to z Rosją czy Niemcami skorzystamy z tego znacznie – nie powinniśmy wahać się ani minuty. Pomimo

tego oczywiście, że państwa to obserwujące będą chciały daną inicjatywę zbombardować, używając słów, frazesów mających uderzyć w nasz narodowy charakter. W takim momencie powinniśmy być na to głusi. Liczy się nasz interes, a nie to co kto o tym pomyśli. Może się wydawać, że wtedy któreś z państw się od nas odwróci. Jednak polityka, a polityka zagraniczna w szczególności pokazuje, że jest wtedy zupełnie inaczej. To właśnie twarda gra i stawianie na swoim zyskuje szacunek.

Podsumowując, odrzucmy zbędne emocje w polityce zagranicznej. W tej dziedzinie nie ma dobrych i złych, nie ma zdrad i lojalności – są tylko stety/niestety interesy. Nie powinniśmy wahać się współpracować nawet z historycznego punktu widzenia z kontrowersyjnymi dla nas państwami, jeżeli dla naszego państwa i narodu możemy wyciągnąć z tego korzyści. Nie możemy rzucać się na barykady i emocjonalnie krzyczeć, bo wychodzimy wtedy na łatwych do rozgrywania i wykorzystania dla spraw, z którymi nie mamy nic wspólnego. Jeżeli krzyczymy o miłości do Polski to działajmy bezwzględnie tylko dla niej. Jeśli któreś z państw proponuje nam dołączenie do ich sprawy bądź interesy – nie wchodźmy w nie tylko dlatego, że jest to dla nas według opinii publicznej państwo „przyjazne”. Wchodźmy tylko tam gdzie nam się to opłaca, bez względu na to jak to państwo się nazywa. Zapomnijmy o naszym starym hasle „za wolność naszą i waszą”, raczej myślmymy o hasle „za wielkość naszą!”. Na tych zasadach wyjdziemy na pewno lepiej niż na emocjach czy przemowach jak ta Józefa Becka roku pamiętnego. Choć pięknie mówił, nasz koniec był fatalny. Zamiast biec w przepaść z pięknymi emocjami, my budujemy wyrachowaną, piękną przyszłość.

Krzysztof Kubacki

Nacjoprymitywizm – epidemia głupoty

Jeżeli istnieje jakaś dobra rzecz w pladze gimbopatriotyzmu, to jest nią chyba tylko możliwość oglądania całkiem niezłego kabaretu – w końcu śmiech to zdrowie, a powodów do niego za sprawą „narodowej” dzieciarni jest zawsze sporo. Oczywiście, na dłuższą metę jest on bardziej denerwujący niż śmieszny, a także zwyczajnie dla polskiego nacjonalizmu szkodliwy, jednak przy zjawisku prymitywizacji idei, które przybiera na sile, i trudno w nim znaleźć cokolwiek zabawnego, stanowi problem dużo mniejszego kalibru. Obrazowo rzecz ujmując, gimbopatriotyzm jest zaledwie drzazgą w stopie, natomiast o wiele poważniejszy nacjoprymitywizm przypomina już raka z przerzutami.

Choć lata 90., kiedy to idea radykalnego nacjonalizmu była radośnie deprecjonowana przez skinheadowską patologię, dawno już są za nami, sama patologia (tyle, że ubrana w wygodniejsze i droższe łaszki) ma się dziś doskonale. Jest bardzo żywotna, wykazuje też tendencje do szybkiego rozmnażania się i przybierania najróżniejszych mutacji. Na fali sukcesów frekwencyjnych narodowych demonstracji oraz upowszechnienia mediów społecznościowych, trafiła więc i „pod strzechy”, dość skutecznie przyćmiewając nacjonalistyczny głos zdrowego rozsądku. Dzieje się tak pomimo tego, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat idea narodowo-radykalna poczyniła duży krok naprzód, by wymienić tylko ogólny wzrost świadomości wśród zaangażowanych działaczy, poziom samoorganizacji i samorozwoju, a także wysyp bardzo pożytecznych inicjatyw (działalność wydawnicza, społeczna, itd.). Rozwój radykalnego nacjonalizmu jest jednak ustawicznie hamowany przez nieodpowiedzialne, nieprzemyślane i skrajnie przedmiotowe traktowanie idei przez zwykłe społeczeństwo, które rości sobie prawo do tytułowania się narodowym i radykalnym. Trudno się oprzeć wrażeniu, że polski narodowy radykalizm stał się zakładnikiem upadku myślenia, a jego instrumentalne wykorzystywanie (nazwa, symbolika) jest dobrym alibi dla zwykłego chamstwa i prymitywizmu, których w polskim społeczeństwie nie brakuje. Zamiast ambicji zostania prawdziwą awangardą intelektualną i rzeczywistą alternatywą dla bylejakości oraz marazmu w polskim życiu społeczno-politycznym, narodowemu radykalizmowi przyprawiono gębę nacjoprymitywizmu, na co w pocie czoła pracują zastępy pozerów i zwykłych idiotów, którzy do swojej pustki umysłowej dodają quasi-radykalną retorykę, z zapalem niszcząc wszystko, co mozolnie zostało wypracowane przez nielicznych, dla których narodowy radykalizm to nie zabawa czy chwila oddechu od „prawdziwego” życia.

Narodowy radykalizm w krzywym zwierciadle, czyli wybuchowe połączenie arogancji, nieuctwa i odporności na wiedzę ze zwyczajnym buractwem, stał się „wizytówką” polskiego nacjonalizmu. Choć głupota jest ponadnarodowa i ponadczasowa, to w Polsce przybrała ona formę niemalże oficjalną, co z łatwością można zaobserwować, patrząc na wytwory „myśli” narodowo-prymitywnej, zalegającej w czeluściach Internetu, który ma obecnie największy wpływ na kształtowanie się opinii i postaw. Zagadnienia natury geopolitycznej, gospodarczej, religijnej czy historycznej, trafiają w ręce samozwańczych „ekspertów”, którzy mają wyraźny problem z poskładaniem kilku logicznych zdań w języku ojczystym. Stąd też lawina kłamstw, niedomówień, półprawd, odziana w szaty internetowych grafik i memów – mówienie w tym przypadku o idei narodowo-radykalnej, bądź awangardzie myśli politycznej, jest zwykłym naigrawaniem się z nich. Do niedawna w czołówce nacjoprymitywistycznej „działalności” była mityczna już „antykomuna”, która ustąpiła w ostatnim czasie miejsca problematyce stosunków polsko-ukraińskich oraz aktualnemu problemowi pozaeuropejskiej imigracji. Wystarczy pobieżna tylko lektura internetowych dyskusji, by wyrobić sobie zdanie na temat kondycji umysłowej większości polskich „nacjonalistów”. Poziom rozmów, argumentacji oraz ogólnej kultury oscyluje gdzieś wokół przydworcowej mordowni, pełnej najbardziej zdegenerowanego elementu. Nie chodzi tu bynajmniej o takie czy inne stanowisko – problemem jest wspomniany brak poważnej, merytorycznej dyskusji oraz umiejętności klarownego wyrażenia swojego stanowiska. Ktoś, kto na dzień dobry dostanie po oczach serią rozmaitych „banderowców”, „UPAńców”, „kozojebców” czy „ciapatych”, bo takie słownictwo dominuje w wypowiedziach „narodowej” menażerii, niechybnie stwierdzi, że większość podających się za nacjonalistów to zwykłe intelektualne bydlę, mentalne bagno, które lepiej omijać z daleka. Niestety, niebezpiecznie.

Antyukraińska szowinistyczna histeria, której doskonałą ilustracją jest młodzieniec odlewający się na grób Stefana Bandery, antyimigranckie nastroje, które stały się pożywką dla pokazania *urbi et orbi* zwykłego, żenująco „biednego” rasizmu i braku zrozumienia prawdziwych mechanizmów, kierujących do Europy przybyszów z Afryki i Azji, stały się podręcznikowym wręcz przykładem nacjoprymitywizmu. Nieważne jest przy tym, czy ten prymitywizm jest prezentowany przez bezzębną żulię, działającą na odcinku „akcji bezpośredniej”, czy też ma postać pseudointelektualnej, czesanej w ząbek „elity”, która w swoim naturalnym środowisku, jakim jest Internet, codziennie płodzi bełkotliwe miazmaty – w ostatecznym rozrachunku, wszelkie te działania uderzają w narodowy radykalizm, coraz bardziej go izolując i ośmieszając. Podane wyżej przykłady są tylko czubkiem cuchnącej góry

śmieci, która coraz bardziej zatrzuwają powietrze, przyprawiając o ból głowy i nudności. O ile wspomniany na początku gimbopatriotyzm jest domeną osób raczej młodych, tak w wielu przypadkach przeradza się już w „dojrzały” nacjoprymitywizm, który coraz trudniej wykorzeńić, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę wstydlivy problem odporności dorosłych Polaków na słowo pisane. Choć autentyczni wyznawcy idei narodowo-radykalnej nie ustają w wysiłkach, by uwolnić ją od zalewu parnacjonalistycznego syfu, żywotność nacjoprymitywizmu jest zatrważająca. Przypomina to nieco herkulesowy pojedynek z Hydrą lernejską, lecz jest to jedyne wyjście, by rewolucyjnemu nacjonalizmowi przywrócić należne mu przecież miejsce w czołówce twórczej myśli. Co prawda medycyna zna przypadki samoczynnych remisji nowotworów, lecz tutaj z pewnością nie obędzie się bez radykalnego ciachania lancetem. Bez tego rak będzie się stale rozprzestrzeniał.

Zbigniew Lignarski

O „Szturmie” bez skrupułów

Sierpień to niezwykle istotny miesiąc dla polskiej narodowej pamięci. Wraz z początkiem tego miesiąca datuje się rocznica rozpoczęcia największej jednorazowej hekatombi naszego narodu, a więc Powstania Warszawskiego. Następnie, na półmetku, świętujemy już tzw. Cud nad Wisłą. Nie jest żadnym przypadkiem, że System wydaje miliony na promocję Powstania Warszawskiego. Sam fakt, że właśnie z tego wydarzenia historycznego okupacyjny reżim uczynił obiekt najświętszego i niepodważalnego kultu, powinien każdego myślącego nacjonalistę zastanowić. Tym bardziej, że widzieliśmy na przykładzie tegorocznych obchodów obu ww. rocznic, o ile szczerbli niżej uplasowano jedno z największych zwycięstw oręża polskiego w historii – wiktoryę nad bolszewikami z 1920 roku.

Zresztą warszawski reżim nie chce, aby i z tego wydarzenia Polacy wyciągnęli właściwe wnioski. Albowiem czcimy Bitwę Warszawską bez większej refleksji. Ciągłe i wszędzie mówi się tylko o wspaniałym zwycięstwie militarnym, bądź też powiela nawet brednie o „cudzie” – tak jakby Polacy byli genetycznie ułomni i nawet mając przewagę zbrojną, w morale oraz lepiej rozegraną taktykę bitewną, byli w stanie pobić wroga tylko za sprawą interwencji siły wyższej. Tymczasem i Bitwa Warszawska, w szerszym kontekście, jest dla nas rocznicą posępną. Niedawno ukazała się na rynku książka młodego konserwatysty i historyka, Piotra Zychowicza „Pakt-Piłsudski Lenin”. Nie czytałem jej, ale bazując na własnej wiedzy spodziewam się, co w niej znajdę, gdy wreszcie trafi w moje ręce. Pan Zychowicz wylał zapewne kolejny kubeł lodowatej wody na rozżarzone głowy „sarmatów”. Książka, co zostało już zapowiedziane, oscyluje wokół m.in. tej tezy, że nasze zwycięstwo pod Warszawą zmarnotrawiliśmy już rok później w Rydze, zaniechując agresji na terytoria opanowane przez zdziesiątkowanych i zdemoralizowanych Sowiec. To kolejna gorzka pigułka, trudna do przełknięcia, zwłaszcza dla orędowników „patriotycznej poprawności”.

Myliłby się ten, kto chciałby ciskać gromami np. w Piłsudskiego czyniąc z niego głównego odpowiedzialnego tej sprawy. Bardziej odpowiedzialną od niego jest nasza historia. Piłsudski to produkt narodu, który go wydał. Owa „niechęć do zwyciężania” jest zjawiskiem stałym w historii Polaków, nierozzerwalnie związanym z naszą mentalnością i zwyczajem. Zapytuję: jak to się stało, że nawet w naszym języku tradycyjny słowiański „oręż” od jakiegoś czasu całkowicie ustąpił jednoznacznie defensywnej w brzmieniu „broni”? W języku polskim znajdziemy klucz do wielu tajemnic polskiej polityki na przełomie historii. Ilekroć zatem słyszę o tym, że „musimy się obronić”: przed inwazją imigrantów, naciskami agresywnego i znakomicie finansowanego homo-lobby, kolonizacją międzynarodowego kapitału, przed czerwonymi itd. itd., to muszę przyznać – robi mi się niedobrze. Przedstawiając sprawę w ten sposób skazujemy się na klęskę jeszcze przed pojęciem walki.

Pozwolę sobie po raz kolejny wrócić przy tej okazji do naszego wielkiego geniusza – Jana Mosdorfa. Otóż pisał on na kartach „Wczoraj i Jutro”, że tragedią Kościoła Katolickiego (a co za tym idzie, cywilizacji europejskiej) było odcepianie się od jego konduktu narodów germańskich. Tych, które niegdyś nawracały świat ogniem i mieczem. Owych Niemców,

Szwedów, czy Anglików, którzy potrafili i nadal potrafią myśleć o polityce w kategoriach agresji i podboju (choć ekspansja ekonomiczna chwilowo zastąpiła *Blitzkrieg*). Dalekosiężnym skutkiem dziejowym było to, iż to pogańska, narodowosocjalistyczna Rzesza będąca nieślubnym dzieckiem reformacji i XIX-wiecznej filozofii niemieckiej, nacierała na bolszewików w imię własnych, szalonych idei. Gdzie zaś była wówczas „cywilizacja łacińska”? Rozbita pomiędzy narodowym socjalizmem a koalicją anglosaską, była na totalnie przegranej pozycji i to niezależnie od alternatywnych scenariuszy. Obecnie zaś nacje germańskie, najbardziej karne i zdyscyplinowane ze wszystkich nacji Europy, stanowią forpocztę bolszewizmu XXI wieku, jakim jest liberalizm. Nie jest zresztą, mówiąc na marginesie przypadkiem, że właśnie te narody mają dziś charakter najbardziej spasionych ekonomicznie, że wykorzystuje się je do wyzyskiwania i uciskania reszty Europy. Międzynarodowa sytuacja finansowa wie doskonale, z jakim zagrożeniem wiąże się głodny i bezrobotny Niemiec. Dlatego wołają oni za wszelką cenę uniknąć niechcianego scenariusza (czego jesteśmy świadkami w kwestii zadłużenia Grecji – konsekwentnie idzie się Niemcom na rękę), choć nadchodzący wielkimi krokami kryzys na rynkach finansowych z pewnością wystawi te starania na poważną próbę.

Na katolickim, procywilizacyjnym posterunku pozostały natomiast, jak pisze Mosdorf, „degenerujące się już wtedy” ludy śródziemnomorskie, Francja i właśnie Polska. Jeśli spojrzeć na historię francuskiej wojskowości, nie znajdujemy tam imponujących sukcesów. Zaszczepił je we Francuzach dopiero genialny korsykański Włoch – Napoleon. A my, Polacy? Mimo bitności, z której tak lubimy słyszeć, od wieków ograniczamy się do „obrony i koniec” – czego znakomitym przykładem jest, że po rozgromieniu czerwonej dziczy pod bramami Warszawy na własne życzenie podpisaliśmy traktat przegranych w Rydze. Traktat co do zasady wręcz szaleńczy, gdyż bolszewicy, jako strona przegrana, oferowali nam znacznie więcej.

W Polsce, ów problem z pojmowaniem polityki zagranicznej (której wojna jest tylko przedłużeniem) został dodatkowo pogłębiony przez mylne, wręcz obłądne posługiwanie się pojęciem „honoru” bez zrozumienia różnic między działaniem jednostki, a działaniami ruchu, czy organizacji państwowej. Jak pouczał Stanisław Cat-Mackiewicz: „Aby je zrozumieć [pojęcie honoru] należy trzeba znać dobrze czasy średniowiecza i feudalizmu, wśród których ono wyrosło. Jest to pojęcie w którym mieszcza się równomiernie pierwiastki zaszczytu i obowiązku. Już wtedy honor rycerza polega na czym innym niż honor zakonika. W spadku po średniowieczu pojęcie honoru dotrwało do czasów łodzi podwodnych i oto zwyczajem marynarzy wojennych, kapitan ginie ze swoim statkiem. W Japonii generał, który naraził wojsko na klęskę popełnia samobójstwo według odpowiedniego rytuału, ale żaden z samurajów, którym wspaniałego poczucia czci nikt nie odmówi, nie wzywa swego kraju, swej Ojczyzny, do popełnienia samobójstwa w imię narodowego honoru. Honor szlachcica japońskiego jest inny, honor państwa inny, honor żołnierza znów powinien być inny od honoru dyplomaty.”

My natomiast nienawiedzimy zachowywać się „niehonorowo”, przekładając moralność ludzką na państwową/organizacyjną, której egzystencja jest, moim skromnym zdaniem, co najmniej wątpliwa. A więc, przykładowo, nie śmiemy uderzać na wroga zniemacka, zagarniać jego

terytoria, „bo to nie nasze” etc. Najlepsi z nas nie obawiali się spłonąć żywcem pod gruzami Warszawy, ale przerażała ich myśl o „niemoralnym występku”, za jaki uważali czysto taktyczne zaniechanie samobójczego powstania przeciw wycofującej się niemieckiej masie upadłościowej. Przenosząc te rozważania na poziom abstrakcyjny – podobnie wygląda sprawa z walką, jaką nacjonałiści polscy prowadzą przeciw Systemowi. Upraszczaając, jest to taktyka otwartych przyłbic, maszerowania z flagami i krzyczenia „uderz mnie!”. Jakże to wszystko honorowe i rycerskie. Jakże musi bawić tych Azjatów, którzy to obserwują z okien budynków rządowych. Nie, cała ta gra w otwarte karty nie wystarczy. Musi być jeszcze drugi wymiar tej walki.

Powiedzmy to więc z całą stanowczością: nie ma żadnego sensu uszczuplać swój arsenał środków poprzez posługiwanie się „honorami” w walce z bezdusznym systemem o azjatyckim rodowodzie i wybitnie wschodniej mentalności. Czym innym są relacje koleżeńskie. Dzisiejsza walka polskich i europejskich narodowców z demoliberalizmem to nie jakiś Grunwald, w którym dwie chrześcijańskie armie wymieniają się rytualnymi pozdrowieniami, a następnie nacierają na siebie w wyznaczonym miejscu, od A do Z przestrzegając ściśle ustanowionych reguł. System, z którym chcemy walczyć nasyla seryjnych samobójców, kłamie, tumani, klepie po plecach, które następnie przeszywa stalą. Uczynienie z Powstania Warszawskiego centralnego kultu dla Polaków jest właśnie jedną z takich parszywych, do cna zakłamanych zagrywek – z jednej strony wziąć Polaczków pod włos, hołubić ich męstwo, szafować krwią poległych bohaterów, z drugiej – utrwalić w tradycyjnych, zgubnych przekonaniach – że „nie dało się inaczej”, że „to wina wszystkich poza nami, że wyszło jak wyszło” i co najważniejsze – że powinniśmy ciągle tylko umierać dla ojczyzny, a nie **zabijać dla ojczyzny**. Osobiście preferuję to drugie rozwiązanie. Wszyscy w głębi duszy je preferujemy. Oczywiście nietrudno się domyślić, dlaczego rządzący nami kolaboranci banksterów mają w tej sprawie inne zdanie.

Jako „szturmowcy”, młodzi Polacy, rewolucyjni Europejczycy, znajdujemy się jednocześnie w takim momencie dziejowym, że jakiegokolwiek okopywanie się, schodzenie do podziemia, względnie postulowane przez niektórych kolegów „budowanie alter społeczeństwa, które za 150 lat sięgnie po swoje” nie ma już żadnego sensu. Jesteśmy, tak jak nad Wisłą w 1920 roku, za słabi aby się bronić. Musimy więc nieustannie szturmować, atakować. Wszędzie tam, gdzie tylko można, jednoczyć swoje wysiłki i uderzać w system – nawet na najmniejszym mikropoziomie. Należy przestać zadowalać się wiecznymi „kontrami”. Rocznicą Bitwy Warszawskiej powinna nam przypomnieć, że udana kontra bez dalszej agresji aż do ostatecznego zwycięstwa równa się wycofaniu i sromotnej klęsce. Nie możemy „obronić się przed agresją liberalizmu”, bo jeśli się obronimy, to ten liberalizm wróci i tak czy siak nas pożre. Musimy po zwycięskiej kontrze ścigać go, w porozumieniu z nacjonalistami Europy – aż dorzniemy go na Wall Street.

Zdaję sobie sprawę, że moje słowa mogą zostać wzięte na opak przez większość polskich czytelników, mocno uwarunkowanych przez polski romantyzm. Doprecyzuję więc: kiedy piszę „szturmować”, „atakować” etc., nie mam na myśli „wywoływać następne Powstanie Warszawskie”. Broń Boże. Nigdy więcej tak nieodpowiedzialnych decyzji. Nie chodzi mi o rzucanie się z finkami na regularne wojsko, jak to robili zdesperowani rumuńscy legioniści w

1940 roku, ani o obecne coroczne ciskanie kamieniami w polską policję, akurat najmniej winną. Zachowując szacunek do naszych wielkich bohaterów z ogarniętej powstaniem Warszawy, powinniśmy wyraźnie odgrodzić bohaterstwo od skuteczności, bo jedno nie oznacza automatycznie drugiego. I tu właśnie na scenę wchodzi przebiegłość. Odsłanianie przyłbicy w walce z takim wrogiem równa się samobójstwu, ostatecznej śmierci naszych ideałów. Jedyne, co nam chwilowo zostaje, to małe zasadzki, wojna podjazdowa, infiltracja, wojna na skroś niewidzialna, ale nieustanna i totalna. Wojna na pięści na ulicy i na informacje w Internecie. Zdobywanie dusz, ożywianie umysłów poprzez wykłady i miażdżenie wrogich wieców. Milion mikroskopijnych działań, ale skoordynowanych najlepiej, jak to tylko możliwe. Skupianie się na sprawach niewielkich, w których można osiągnąć sukcesy.

Źródłem naszych inspiracji stricte politycznych musi stać się pokolenie Dmowskiego, Piłsudskiego i Studnickiego, które swoją przebiegłością i mierzaniem zamiarów na siły zwyciężyło niepodległość Polski, a nie świta od Becka i Bora-Komorowskiego, która tak łatwo i tak bezmyślnie Polskę przegrała. Sięgać po broń, środki natury ostatecznej w celu eliminacji wrogów ojczyzny? Tak, ale tylko wtedy, gdy sprawa nie wygląda beznadziejnie. Dostyc całopaleń. Czas na dyscyplinę, czas na przebiegłość i żelazną wytrwałość. Jeśli trzeba, będziemy dla celów taktycznych przebierać się w demokratyczne ciuszki niczym wilki w szaty owiec. Zrobić to i jednocześnie nie stracić zdrowego karku ideowego, nie zapomnieć o tym, kim się jest – oto sztuka czyniąca politycznym żołnierzem XXI wieku.

Musimy zawsze pamiętać, co jest naszym ostatecznym celem: a jest nim rewolucja narodowa, obalenie obecnego porządku zbudowanego przez ubeków trzymany na smyczy międzynarodowej finansjery i korporacyjnych bestii. Dla jego realizacji powinniśmy być gotowi na wszelkie niemoralne świństwa wobec systemu i jego żołdaków. Nie da się bowiem zdradzić zdrajcy, ani okraść złodzieja.

Daniel Kitaszewski

Wehikuł czasu

Sierpniowe rocznice są w Polsce zapisem zmagañ naszego narodu z nieludzkimi ideologiami. Wspominamy bitwę warszawską, w której zatrzymaliśmy natarcie bolszewickich hord na Europę. Wspominamy pakt Ribbentrop-Mołotow, sankcjonujący czwarty rozbiór Polski przez totalitarne reżimy. Wspominamy wreszcie Powstanie Warszawskie, którego potworna klęska zadecydowała o skali naszego zniewolenia przez komunizm. Jednak te wszystkie sprawy z każdą kolejną rocznicą należą do co raz odleglejszej przeszłości. Oczywiście historia jest nauczycielką życia i należy ją znać, by uczyć się na błędach (najlepiej na cudzych), ale czy przypadkiem nie jest tak, że jako naród żyjemy mentalnie w czasie przeszłym? Walczymy z komuną, Wołyn pamiętamy, a Niemcom nie oddamy nawet guzika. Nosimy koszulki z krzyżem NSZ i rysujemy kotwice Polski Walczącej na murach. Nasze dyskusje o wydarzeniach historycznych bywają żywsze i bardziej zaciekle niż te dotyczące spraw bieżących. Dzielnie przeciwstawiamy się zagrożeniom, które dawno minęły i bez pardonu poddajemy krytyce ludzi, którzy dawno umarli. Być może wynika to z kompleksu, że nam – urodzonym za późno – nie dane było uczestniczyć w epickich zmaganiach o Polskę „pokolenia Kolumbów”. Jeśli tak jest, wystarczy sobie jedynie uświadomić, że my także mamy własne bitwy do wygrania tu i teraz.

Francuski filozof Raymond Aron wieszczył kiedyś „koniec ery ideologii” – czas, w którym intelektualista przestanie „oddawać swoje serce abstrakcyjnej ludzkości, tyrańskiej partii, niedorzecznej scholastyce, bo kocha ludzi, należy do żywych wspólnot, szanuje prawdę”. Niesłychana to krótkowzroczność francuskiego filozofa. Ideologie żyją i mają się dobrze, nadal stanowią „opium dla intelektualistów”, a ideologią szczególnie żywotną okazuje się marksizm. Wcale nie zginął bezpowrotnie wraz z upadkiem Związku Sowieckiego i jego imperium zewnętrznego. Rozwinął się i przeobraził, by natychmiast po swojej klęsce na Wschodzie – zaatakować nas z Zachodu, jako marksizm kulturowy i ideologia Nowej Lewicy.

Ten nowy marksizm (zrodzony w umysłach teoretyków szkoły frankfurckiej) tym miał się różnić od starego, że odcinał się od powiązań partyjnych, a rewolucja którą wprowadzał, była rewolucją świadomości. Dotychczas to kapitalistyczna (burżuazyjna) formacja społeczno-ekonomiczna była źródłem ucisku proletariatu. Dla marksizmu szkoły frankfurckiej opresyjna jest kultura, tradycja, świat wartości cywilizacji Zachodu, którego korzenie tkwią w etyce chrześcijańskiej. Z powodu odwołań do psychoanalizy Zygmunta Freuda, dla którego

gwarancją szczęścia było zaspokajanie popędów, szczególnie zwalczana jest etyka seksualna. Natomiast nowym proletariatem są studenci, dla których wykładający na prestiżowej uczelni wykładowca-politruk staje się niekwestionowanym autorytetem. Tacy profesorowie działają najpierw w ramach Institut für Sozialforschung we Frankfurcie nad Menem, następnie na École Normale Supérieure w Paryżu, Institute of Sociology w Londynie, Columbia University w Nowym Jorku. Ziarno zostaje zasiane...

W 1968 roku pokolenie wychowanków szkoły frankfurckiej, pod hasłem „Marks, Mao, Marcuse”, doprowadziło do rewolucji najpierw we Francji, a następnie w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Co ciekawe, uczestnicy pierwszych protestów w maju 1968 r. na Uniwersytecie w Nanterre, pod Paryżem, za jeden z najważniejszych postulatów uznali koedukacyjność akademików, a liderem zrewoltowanej młodzieży był Daniel Cohn-Bendit – znany dzisiaj ze swoich pedofilskich skłonności. Promowano także wolną miłość, tolerancję, ekologię i pacyfizm. Z tej rewolucji zrodziły się radykalne ruchy ekologiczne, gotowe zgładzić człowieka, by ratować mysz (ekocentryzm), ruch LGBT, kulturowy feminizm, *gender studies*, ideologia tolerancjonizmu i wiele innych. Niebezpieczny pluralizm kłamstwa. W krajach bloku wschodniego była jedna partia i jedna propaganda. To chyba było mniej groźne niż dzisiejsza fałszywa różnorodność. Kiedy socjaldemokrata, ekolog i feministka prowadzą dyskusję w telewizyjnym studiu musimy pamiętać, że to nie realna alternatywa, lecz wewnętrzny spór w łonie kolejnej „międzynarodówki”.

Lakoniczna wzmianka w internetowej encyklopedii wbrew pozorom mówi bardzo wiele: „Rewolta dokonała głębokich zmian w świadomości społeczeństwa, ówcześni studenci stali się po kilkunastu latach elitą społeczną i polityczną w swoich krajach.” Czy zdajemy sobie sprawę z tego jak głębokie są te zmiany świadomości? Czy rozumiemy, że należymy do świata urządzonego przez tych ludzi? Czy znamy ich nazwiska? Max Horkheimer, Theodor Adorno, Herbert Marcuse, Rudi Dutschke, Daniel Cohn-Bendit... Zamiast nich wciąż słyszę Lenin, Stalin, Hitler, Bandera, jakby czas na zawsze zatrzymał się w latach czterdziestych a Polska była wielkim intelektualnym skansenem.

Maciej Wolski

Horda patriotów

W czasach zimnej wojny, kiedy to komunizm dążył do zniszczenia swojego starszego, kapitalistycznego brata, sowiecka bezpieka bardzo lubiła wszelakie prokomunistyczne i lewackie, acz również także pacyfistyczne czy na swój sposób nawet proekologiczne (z racji na niechęć wobec zachodniej polityki jądrowej) ugrupowania. Oczywiście lubiła w sposób interesowny – wspierała, kibicowała im i potrafiła załatwić wyjazd za granicę, sami jednak agenci mówili o takich osobach nie inaczej jak „gównojady”. Znacznie wcześniej towarzysz Lenin powtarzał, że intelektualiści popierający bolszewików i ich rządy w Rosji to nikt inny jak „pożyteczni idioci”.

Czasy się zmieniły, rządzący się zmienili, ale pewne mechanizmy pozostały zupełnie te same. Znaczna część ludzi, niestety, wykazuje elementarne problemy w myśleniu oraz bardzo łatwo łyka... hm, powiedzmy, że każdą głupotę.

Ostatnio w Polsce mamy cały wysyp „antysystemowców” i „patriotów”. Każdy dzisiaj jest antysystemowcem. Kiedyś to trzeba się było natrudzić – we Włoszech komuniści i nacjonaści podkładali bomby, anarchiści z okazji szczytów w Davos czy przy równie innej uroczej okoliczności rzucali koktajlami Mołotowa w policyjne linie, a żeby skończyć z tą przemocą to wspomnijmy tylko, że za konspiracyjne drukowanie solidarnościowych ulotek można było mieć niemiłe spotkanie z panami z SB. A dzisiaj? Nie głosujesz na jedną z czterech głównych partii? Jesteś antysystemowcem! Ależ jesteś odważny!

Mamy też cały wysyp patriotów. Mój Boże, niedługo naprawdę powstanie Wielka Polska narodowa, marzenia kilku pokoleń narodowców wreszcie się ziszczą. Co prawda jeden Janusz z drugim malują swe twarze na biało-czerwono udając się na mecz reprezentacji a często jednocześnie nie mają nic wspólnego z wyznawanymi czy to przeze mnie, czy nawet przez modelowego „narodowca” ideami i poglądami, ale widać teraz wystarczy założyć podkoszulek z jakimś historycznym motywem i już jest się patriotą. Albo z Orłem Białym – co prawda nad morzem i w Zakopanem sprzedają od lat podobne i kojarzą mi się z najgorszym typem turysty, takim, który jedzie na *all inclusive* by skąpić na wszystkim (zapłacić? zapłacić!), klaskać w samolocie i mówić w Egipcie do obsługi hotelowej po polsku, ale od jakiegoś czasu trend się zmienił. Teraz wszyscy biegają w takich koszulkach i to jeszcze płacąc niemałe sumy.

Naturalnie nie mam nic do koszulek i firm, które je produkują (jeśli przy okazji chcą faktycznie zrobić coś dobrego – doceniam, jeśli kierują się wyłącznie zyskiem – cóż, lekarz też nie musi być dobrym człowiekiem lecz okazać się ostatnią łajzą ale i tak swoją pracą pomaga ludziom), jak pisał swego czasu kolega Siemiątkowski, powinniśmy się w sumie cieszyć, że taki kulturowy patriotyzm powstaje i symbolika biało-czerwona wchodzi do popkultury – sęk w tym, że o ile na Węgrzech, Ukrainie, w Chorwacji czy innych miejscach, gdzie nacjonalizmowi udało się zdobyć przyczółki w świadomości społecznej dzięki modzie czy

muzyce, przy okazji promuje się mniej lub bardziej narodowo-radykalny światopogląd, o tyle u nas sprowadza się to co najwyżej do oddawania należnej czci (...i chwały...) bohaterom. Dość przywołać pewnego muzyka biegającego ostatnio non-stop w koszulkach z emblematami NSZ (który – przypomnijmy – dążył do powstania Katolickiego Państwa Narodu Polskiego) który chciałby silniejszego rozdziału państwa i Kościoła. Ot, tyle z rozumienia symboli które masz na sobie.

System nie pęka, lecz ma się bardzo dobrze. Wielkimi krokami zbliżają się wybory parlamentarne (po drodze czeka nas jeszcze referendum ale im mniej się o nim mówi, tym lepiej – generalnie dla dobra tego kraju najlepiej się stanie, jeśli Polacy tradycyjnie wykażą bierność wobec otaczającej ich rzeczywistości i nie pójdą do urn dzięki czemu rewelacyjny pomysł z JOW-ami upadnie z racji na brak wymaganej frekwencji) w których to nasi antysystemowcy robią z całej siły co mogą, by dorwać się do wymarzonych poselskich diet. Obalenie Okrągłego Stołu, że pojadę dobrze znanym postulatem jeszcze lepiej znanego młodszego i gniewnego patrioty i antysystemowa, skończy się najpewniej wywróceniem okrągłego mebla podczas hucznej zabawy bo nic więcej kilkuosobowa grupa posłów (zakładając, a życzymy im przecież jak najlepiej, że do Sejmu się dostaną) w tym kraju działać więcej nie może. Skrytykujesz, draniu, wielkiego patriotę? Jesteś zdrajcą i zakałą narodu! Choć to i tak przynajmniej kulturalne wyzwiska, przyzwyczailiśmy się też, że według całej masy polskich antysystemowców najlepiej dyskutuje się z oponentem wyzywając go od cór Koryntu. Naturalnie, jak przystało na gorącego polskiego patriotę, troszczy się przy tym o dziedzictwo narodowe jakim jest nasz język, dlatego nie tylko Ukraińcy, ale i my, Polacy – nauczmy się kultury, a nie odp...lajmy. Tego klasyka chyba również już większość kojarzy. A zatem, jeśli organy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej były kiedyś zaniepokojone tym, że może dojść w tym kraju do jakiejś radykalnej zmiany to mogą już odetchnąć z ulgą – tacy to patrioci, jak za komuny Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” czy księża-patrioci. Nikt chyba nie uwierzy w to, że skoro za cenę dorwania się do sejmowego baru i diet zrezygnować można z radykalizmu, to później nie byłoby tylko gorzej. Sięgam sobie pamięcią kilka lat do tyłu i ze smutkiem przypominam sobie słowa Artysty – „wszystko się tak cyklicznie powtarza...”.

Paru wodzów marzących o dorwaniu się do władzy (a część z nich, kto wie, może też mająca jakieś wesołe kontakty? Nie żebym tu kogoś oskarżał czy krytykował, kogoś tu wręcz może należy pochwalić – jako obywatel RP czuję ulgę, że żyję w takim kraju, w którym człowiek znikąd, za to wyglądający ewidentnie na typa spod ciemnej gwiazdy, mimo wszystko dzięki odpowiednim zabiegom posiada rzesze oddanych fanów którzy nie dadzą go skrytykować ani o nic oskarżyć – widać, że fachowa robota) to jedno, na nich w sumie można by machnąć ręką. Przerażają natomiast ich akolici.

Oto ostatnio mieliśmy kolejną rocznicę powstania warszawskiego – naturalnie wszyscy, włącznie z faktycznymi lub rzekomymi spadkobiercami tradycji Dmowskiego rzucili się do

celebrowania chyba najbardziej szalonego wydarzenia w historii Polski. No ale oddać cześć bohaterom trzeba – w końcu to patriotyczny obowiązek. Oczywiście doceniam bohaterstwo biorących udział w zrywie ale narracja, którą przyjęto, jest czymś absurdalnym. Żaden normalny naród nie buduje swojej, nazwijmy to, „pozytywnej” tożsamości na porażce. Mamy być dumni z powstania? Zmysły postradaliście? Z tysięcy pomordowanych, ze zgwałconych kobiet, ze spalonego doszczętnie miasta?

Problemem jest to, że to nie jest nacjonalizm, tylko „patriotyzm” więc wszystkie tradycje polityczne wrzuca się do wielkiego worka i to nawzajem ma nam dać ideowo-emocjonalny koktajl w którym Dmowski i Piłsudski trzymają sztamę, NSZ rwie się ochoczo do powstania warszawskiego, dąży się do Wielkiej Polski narodowej sięgającej od morza do morza, podkreśla tolerancję z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów rozważając przy tym, w jaki sposób deportuje się Ukraińców z odbitego Lwowa albo żywi nienawiść do każdego wyznawcy islamu (czyli zapewne z Tatarami włącznie)... problem jest tylko z II RP, bo z jednej strony znaczna część polskich narodowców żyje mentalnie w międzywojniu nienawidząc Piłsudskiego tak, jakby dziś zaraz miał nas wszystkich zesaść do Berezki Kartuskiej, a z drugiej strony przedstawia się ten kraj jako swoisty raj utracony. Żeby nie był gołostownym to wspomnę tylko wesołą twórczość pewnego bardzo znanego polskiego narodowca, który potrafił zrugać swojego rozmówcę za pozytywne słowo o Piłsudskim (gdyż za jego czasów siedziałbyś we wspomnianej już Berezce!), za to kilka tygodni później samemu forsował wizję II RP jako idealnego państwa, w którym wszystko działało sprawnie, komunistów się wysyłało do więzień a z Ukraińcami dyskutowało jak należy. Zupełnie nie wiedzieć czemu gdy przypomniałem mu o tym, że w owym rajku groziłaby mu Berezka – dostałem tak zwanego banana. Cóż, coś się w tym koktajlu jeszcze gryzie.

Oczywiście jeśli mowa o tym młodzieńczym, patriotycznym szale to nie sposób nie przypomnieć, że największym problemem Polski są dzisiaj owi słynni „banderowcy”. Miałem nic nie pisać nigdy w „Szturmie” więcej niż zdanie czy dwa o kwestii ukraińskiej ale niestety, nie da się. 1 sierpnia, rocznica powstania warszawskiego. Czyż nie idealna okazja by spalić flagę UPA? Groteska? Nie dla niejednego patrioty. Co prawda wątpię by jakkolwiek żołnierz tej formacji Warszawę w ogóle zobaczył na własne oczy (podobnie jak i ukraińscy SS-mani – wystarczy sobie sprawdzić ich szlak bojowy) ale przecież wszyscy ukraińscy nacjonałiści to „banderowcy”. A że Bandera i jego stronnictwo było przeciwne kolaboracji? To bez znaczenia. Bez znaczenia jest też fakt, że wystarczy sięgnąć do książek by przekonać się, że może i pojedynczy Ukraińcy walczyli w Warszawie gdyż ich niewielka liczba siedziała w lokalnym garnizonie, ale mówienie, że to oni „mordowali Polaków” jest równie sensowne jak stwierdzenie, że mieszkańców stolicy rzeźnili mieszkańcy Skandynawii czy Holendrzy, wszak do walki z powstańcami wysłano też oddziały 5 Dywizji Pancerniej SS „Wiking”. Tak więc od dzisiaj to nie Niemcy (współ z rosyjską RONA – fakty są takie, że relacje na temat Ukraińców i ich zbrodni wynikały z prostego wniosku, że skoro na Wołyniu zapłonęły wioski, a teraz Niemcy sprowadzili jakichś dzikusów mówiących ze wschodnim akcentem, to zapewne

są to również Ukraińcy. Kiedy ową rosyjską jednostkę wycofano z Warszawy – również relacje na temat Ukraińców nagle się kończą) dokonali rzezi na Woli i Ochocie – ale Ukraińcy.

Tak więc by zostać patriotą wystarczy wkuć kilka haseł i sloganów a potem powtarzać je do upadłego. A w razie czego – „...tym gorzej dla faktów”.

A zatem zaiste żyjemy we wspaniałych czasach – mamy całą armię patriotów, którzy chodzą w biało-czerwonych barwach i dążą do obalenia systemu, często nie mając żadnego programu poza zmianą ordynacji oraz miłością do Ojczyzny i kultem narodowych herosów, i którzy rozwijają polski przemysł bawełniczy.

Tekst piszę w dniu, w którym jeden z antysystemowców wybitnie się ośmieszył w jednej z telewizji. Nie mam zielonego pojęcia co z tego wyniknie ale słuchając go doszedłem do smutnej konkluzji, iż on tak bardzo nie ma zielonego pojęcia o czymkolwiek, że nawet jeśli on tę ojczyznę kocha i sobie chodzi w tych koszulkach, to ja chyba już nawet wolę niejednego cwaniaczka, bo on przynajmniej potrafi udzielać odpowiedzi na pytania a nie gada jak katarynka cały czas to samo i obraża się na każdego, kto mu zarzuci, że nie da się z nim rozmawiać. Ten kraj i tak wszyscy chcą rozgrabić jak sukno, więc jak już na autentyczne przemiany nie ma co liczyć, to niech przynajmniej nie będzie wstydu i rządzą nami politycy popijający te ośmiorniczki francuskim winem, a nie średniej jakości piwem.

Michał Szymański

Nowa, Wielka Europa Środkowa

Jako narodowi radykałowie często zastanawiamy się nad kształtem naszego kraju w aspekcie pożądanego obrazu stosunków międzynarodowych. Powoli przełamuje się dawny pogląd o nieustającej walce żywiołów narodowych czy chęci zbudowania Rzeczypospolitej od bieguna do bieguna, na rzecz mniej lub bardziej entuzjastycznych postulatów współpracy narodów europejskich we wspólnej walce z globalną hegemonią. Oczywistym wydaje się fakt, że przemiana, dokonana choćby i w pełni, w jednym kraju nie powiedzie się. Los takiego państwa byłby przesądzony a jego upadek dokonałby się bardzo szybko. Samotna wyspa otoczona przez nieprzyjazne siły, zarówno w skali lokalnej jak i globalnej wymarłaby, zabita przez izolację a może nawet „demokratyczną interwencję” monopolarnego świata. Wolność jednego z narodów nie mogłaby nie drażnić eugenicznego biznesu, monopolistycznych korporacji, międzynarodowych instytucji finansowych czy „niezależnych organizacji pozarządowych” dbających odpowiednio o zidiocenie Europejczyków w popieraniu globalnego okupanta. Mało roztropnym posunięciem byłby również zwrot ku Federacji Rosyjskiej. Warto zaznaczyć, że posiadające imperialne ambicje były mocarstwo nie jest, jak życzyliby sobie niektórzy radykałowie piewczą konserwatywno-społecznej rewolucji, a źródłem korupcji w państwach postsowieckich i jednym z graczy globalnej dominacji. Jego chwilowy lub dłuższy antagonizm z Zachodem wcale nie przesądza jeszcze o anty-postmodernistycznym charakterze toczonych walki. Z drugiej strony, czekając na ogólnoeuropejski zryw, prawdopodobnie Ojczyzna mogłaby przeczekać życia dziesiątek pokoleń i mimo tego szanse byłyby znikome. Degeneracja trawiąca Zachód może być w tym momencie już nieodwracalna. Nie dość, że rdzenna ludność państw Okcydentu zaczyna przegrywać z nomadami we własnych krajach na polu demograficznym, to większość tamtejszej białej młodzieży będącej jedyną realną siłą zdolną dokonać zmiany, toleruje lub wyznaje kulturowy marksizm i bezkarność międzynarodowej oligarchii finansowej. Nie lepiej sytuacja ma się na wschodzie Europy będącym w zasadzie rajem alkoholizmu i aborcji. Jedyną szansą na budowę imperium wolności wydają się być zatem Europa Środkowa.

Utworzenie centralnoeuropejskiego bloku współpracy staje się być może jedyną szansą realną szansą na postawienie się nowoczesnemu światu. To właśnie Europa Środkowa jest miejscem, w skali kontynentu najbardziej tradycyjnym, patriotycznym oraz przewrotowym. Można domniemywać, że nie ma innej alternatywy na utworzenie przymierza narodowo-chrześcijańskiej awangardy. To właśnie tutaj społeczeństwo najbardziej żywiołowo reaguje na kolejne próby zaszczepiania przez zachód swoich kulturowych eksperymentów. W gruncie rzeczy, jedynie ta część naszej większej ojczyzny potrafi od czasu do czasu zapłonąć patriotycznym entuzjazmem.

Nie zamierzam tworzyć przy tym laurki narodom Europy Środkowej. Przeciwnie, rozumiem i tak trudną sytuację regionu. Nawet po naszym kraju widać dobitnie, jak głęboko wbiły się macki postmodernistycznej degeneracji. Trzeba przyznać ze smutkiem, że to właśnie u nas swobodnie panoszy się kult indywidualizmu, podsycany zarówno przez globalny układ jak i środowiska liberalno-neokonserwatywne próbujące nazywać się patriotycznymi. A to przecież śmierć ducha wspólnotowości jest pierwszym krokiem do zniewolenia. Nic dziwnego, że większość liberałów hołduje pacyfizmowi, skoro ich wizja społeczeństwa nie przewiduje wspólnego działania ku wyższym celom jak chociażby obrona rodzinnego kraju czy ideałów. Podobna sytuacja rysuje się w kwestii konsumpcjonizmu. Dziesiątki galerii handlowych oraz morze billboardów z napisami „SALE!” zdominowały krajobraz większości polskich dużych i średnich miast. Konsumpcjonizm nigdy nie może iść w parze z tradycyjnym światopoglądem. Wszakże to degeneracja najlepiej nakręca spiralę szalu zakupów, dlatego to właśnie ku niej skłaniać będą kuszące rozwiązłym trybem życia reklamy czy sprytne kampanie marketingowe wielkich firm. Dostrzeżenie takiego stanu rzeczy powinno raz na zawsze wyleczyć niektórych nacjonalistów z pomysłów na taktyczny sojusz ze środowiskami „koliberalnymi”, kapitalistycznymi w rzeczywistości będącymi niczym innym jak częścią Kalijugi. Budowa Wielkiej Europy Środkowej byłaby zadaniem ogromnie trudnym. Kolejnym powodem, po wkraczającej powoli zachodniej degeneracji jest korupcja i zaściankowość pozostawiona regionowi po tzw. „realnym socjalizmie”. Zazdrość, społeczna nieufność, bezkarność urzędów i niejasne prawo są typowymi wadami państw i narodów postkomunistycznych, a zatem Europy Środkowej. Znacznie gorszym czynnikiem są jednak pozostałości po konfliktach etnicznych, które wstrząsnęły regionem. Skutki tych walk oglądać można po dzień dzisiejszy. O ile z punktu widzenia prawdy historycznej trudne mogą wydawać się stosunki polsko-ukraińskie, o tyle relacje między narodami bałkańskimi czy nimi a Węgrami zdają się być jeszcze bardziej skomplikowane a rany znacznie świeższe. A przecież nie można odebrać nikomu prawa do historii czy pamięci. Mimo to należy ponieść trud przełamania barier i podjęcia wspólnej walki. Odrodzenie albo śmierć.

Niezależnie od ciężaru wyrzeczeń i przeciwstawienia się własnym fobiom, jaki trzeba byłoby ponieść jest to jedyna szansa na prawdziwą wolność. Przekonanie do opuszczenia struktur NATO czy UE nie będzie możliwe, gdy zwykłych ludzi trawić będzie strach o braku realnej alternatywy. Miejsca, w którym znalazłby się nasz naród po wystąpieniu z szeregu niewolników globalnej hegemonii. I chociaż dla niektórych to trudne do przelknięcia, potrzebujemy współpracy z Ukrainą, naszego wspólnego potencjału gospodarczego i demograficznego. Potrzebujemy państw wyszehradzkich, Półwyspu Bałkańskiego, krajów bałtyckich, Rumunii, Grecji a nawet Białorusi. Potrzebujemy połączonej siły militarnej, ekonomicznej, a także wspólnego stanowiska w obronie

suwerenności i tradycji. Potrzebujemy, aby stworzyć siłę lokalną i uzyskać głos globalnie. Warto tutaj jednak zaznaczyć, że utworzenie federacji pozostaje centralistyczną mrzonką, niezgodną z charakterem narodów naszego regionu. Mimo to, obszerna współpraca Międzymorza stanowi jedyną alternatywę, zdolną przeciwstawić się globalizmowi. Kształt takiego przymierza musiałby odznaczać się zarówno w sferze militarnej, gospodarczej i politycznej ale również kulturowej. Należałoby przedsięwziąć pracę odwrotną do tej, którą popełniają kulturowi marksiści. Pracę programową na rzecz tożsamości lokalnej, narodowej i europejskiej. Wiem, że istnienie tożsamości innej niż narodowa pozostaje tematem tabu dla części nacjonalistów. Należy jednak spojrzeć, że wychowujemy się w rodzinach, często z własnymi tradycjami, podobnie sprawa ma się też do miast i regionów w kraju czy samej Europy lub identyfikacji słowiańskiej. Istota tożsamości złożonej doskonale dopełnia narodowy radykalizm, tworząc nową jakość nowoczesnego nacjonalizmu. Zrozumienie swojego związku z małą ojczyzną i pobudzenie do pracy na jej rzecz jest przecież jednocześnie pracą na rzecz Polski jako całości. Promocja własnego regionu i dbanie o lokalne tradycje wzbogaca kraj w zdrową, świeżą różnorodność. Kluczem pozostaje jednak zamknięcie mniejszych tożsamości w idei narodowej. Jestem Pomorzanie, Słowianinem, Europejczykiem dlatego, że jestem Polakiem, nie zamiast tego, nie przeciw temu. Rewolucja środkowoeuropejska musiałaby być przewrotem tożsamościowym, pobudzającym do działania na rzecz małej ojczyzny, narodu i regionu, musiałaby również być zwrotem solidarnościowym. Zwrotem, mogącym przełamać indywidualistyczne tendencje na rzecz zdrowej współpracy i idei miłosierdzia. Musiałaby być... pełną: narodową, tożsamościową, społeczną i chrześcijańską rewolucją.

Podsumowując, odrodzenie, chociaż trudne jest możliwe. Wymaga ono jednak pokonania przeciwności panującej i tak w mniejszym stopniu niż na zachodzie, dekadencji, zażegnania dawnych antagonizmów między narodami oraz wyzwolenia z międzynarodowej zależności. Konflikty, które wstrząsnęły Półwyspem Bałkańskim na długo powiązały swoich uczestników w zależności od Zachodu jak w wypadku Chorwacji czy Bośni i Hercegowiny albo Wschodu jak chociażby Serbii. Wielkie starania należy również włożyć w obronę Ukraińców przed uzależnieniem od układu unijno-atlantycznego, w które może wtrącić ten naród konieczność zdobycia środków na obronę granic. Dzisiejszym celem ostatecznym jest zawiązanie współpracy centralnoeuropejskiej mogącej przeciwstawić się zarówno imperializmowi kapitalistycznemu jak i postsowieckiemu. Jedynej drogi ku wielkości i wyzwoleniu.

Leon Zawada

Zmierzch ludu Krzyża - widmo islamu nad Europą

Kalifat Islamski wygrywa obecnie dziejową walkę z Zachodem. W ciągu ostatnich zaledwie dwóch lat Kalifat dał o sobie znać bardzo brutalnie nie tylko w Tunezji, Egipcie, Kuwejcie, Jemenie, Libii, ale także w państwach określających się cywilizacją Zachodu: Francji, Belgii, Australii. Zdobywa on dynamicznie wpływy w Afganistanie zwalczając Talibów, rośnie w siłę w Somalii, Strefie Gazy, gdzie ściera się z działaczami Hamasu. Jeszcze kilka lat temu wielu myślało, że szczytem dla wojującego radykalnego islamu była Al-Kaida organizująca zamachy w USA i tocząca partyzanckie walki z wojskami NATO.

W ostatnim czasie radykałowie islamscy byli w stanie się tak przeorganizować, że zdołali stworzyć własne państwo będące rajem i utopią dla wszystkich radykałów islamskich, a także zagrozić Zachodowi, który *de facto* dokonując inwazji na Irak i obalając Saddama Husajna, bombardując wojska zielonej Libii Kadafiego, czy wspierając czynnie opozycję syryjską doprowadził do takiej sytuacji jaką obecnie obserwujemy. Cytując syryjskiego prezydenta Bashara al-Asada: „Zachód walczy z potworem, którego sam stworzył”. Trudno się z tym nie zgodzić patrząc na zdestabilizowane właśnie przez destrukcyjną działalność Zachodu regiony Bliskiego Wschodu i Afryki. Ten radykalny fanatyzm religijny obcej kultury, oraz wbrew pozorom silny duchowo i kulturowo umiarkowany islam przenikają do laickiej Europy, która jak wspominałem we wcześniejszym artykule wyrzekła się tożsamości, dziedzictwa i głębokiej duchowości na rzecz tolerancji, neoliberalizmu i pustki duchowej, która biorąc pod uwagę powyższe nie pozostanie pustką wiecznie.

Sama wiara katolicka w Europie jest marginalizowana, tradycjonalistom zamykane są usta, a następnie są piętnowani przez liberałów, czy lewicę jako „talibowie” (ciekawym jest, że w tym przypadku lewica potrafi używać pojęcia jakiejś nacji w znaczeniu tylko negatywnym, a w przypadku innych doskonale znanych staje brutalnie wręcz w obronie). Duchowość chrześcijańska wśród Europejczyków ma się coraz gorzej, a wśród muzułmanów, zwłaszcza tych radykalnych wręcz przeciwnie. Można się śmiało pokusić o stwierdzenie, że już w tej chwili nie tylko bojownik Kalifatu duchowo stoi wyżej, niż przeciętny Europejczyk nasiąknięty materialistycznym bezideowym systemem, ale również większość muzułmanów.

Amerykański generał major Micheal K. Nagata dowódca operacji specjalnych Amerykańskiego Centrum Dowodzenia stwierdził: „Nie rozumiemy tego ruchu (Państwa Islamskiego) i dopóki go nie zrozumiemy, nie pokonamy go.” Na temat ideologii Kalifatu rzekł: „Nie pokonaliśmy ich idei. Nawet jej nie rozumiemy.”

Faktem jest, że inwazja na Irak i nieudolna okupacja tego państwa były podstawą do powstania Kalifatu. Faworyzowanie Szytów, wraz z całkowitym odrzuceniem wszelkiej współpracy z działaczami obalonej partii Baas, którzy mogli by utrzymać stabilizację w kraju doprowadziły do powstania irackiej Al Kaidy pod dowództwem az-Zarkawiego, która po jego śmierci w wyniku bombardowania już w 2006 ogłosiła powstanie Kalifatu. Był to jednak Kalifat istniejący tylko na papierze. Dopiero Arabska Wiosna, która dotarła do Syrii miała zmienić ten stan rzeczy.

W czasie ciągnących się walk z siłami Bashara al-Asada opozycja ogłosiła międzynarodowy džihad, który okazał się śmiertelnym błędem. Z całego świata poczęli się zbierać radykałowie, którzy często do tej pory walczyli z amerykańskimi siłami pozostającymi w Afganistanie. Te osoby szybko stały się problemem dla bardziej liberalnych opozycjonistów, a z czasem okazali się wręcz śmiertelnym wrogiem. Wtedy to właśnie jako Kalifat Islamski Iraku i Lewantu (ISIL) zaczął zyskiwać popularność i odnosić sukcesy zdobywając koniec końców ogromną przestrzeń na terenie Iraku i Syrii. Ogłaszając Kalifat Islamski pod wodzą Abu Bakra al-Baghdadiego sunnickiego duchownego z Iraku bojownicy Kalifatu dali się poznać Zachodowi jako fanatyczni wojownicy o swoją sprawę i wiarę, bezkompromisowi i bezlitośni dla wrogów, a w praktyce dla tysięcy ludzi, których masowo mordowano za apostazję (np. sunnitów w armii syryjskiej), kolaborację, bycie niewiernymi (chrześcijanie, szyici), czy łamanie praw szariatu.

Właśnie Szariat jako według wojowników Kalifatu doskonały system sprawowania rządów nierozzerwalnych z kanonem wiary należy wprowadzić na całym terenie, do którego roszczą sobie radykałowie prawa. Jest to przykład najczystszeo wahhabizmu, idei zjednoczenia muzułmanów pod jednym sztandarem bez znaczenia na kolor skóry i narodowość. Patriotyzm, nacjonalizm, komunizm, kapitalizm są bezwzględnie odrzucane. Powrót do źródeł islamu: prostoty i surowości obyczajów. Jedyne dozwolony sport to ten, który uprawiał prorok Mahomet. Łucznictwo, pływanie, jazda konna. Zakaz słuchania muzyki, prócz tzw. nasheedów jako jedynych prawdziwie islamskich dozwolonych utworów muzycznych. Nie zdobyliby oni jednak takiej popularności bez działalności społecznej, która co ciekawe wyróżniała radykalniejsze grupy walczące z wojskami rządu syryjskiego. Zarówno bojownicy Frontu Al-Nusra, jak i ISIL organizowali żywność i leki dla cywili, dopytując się o potrzeby ludności i organizując pomoc zdobyli serca wielu muzułmanów w strefie walk. Dodatkowo stworzenie państwa jakie miało spełniać zadanie utopii dla islamskich radykałów, które na dodatek jest państwem funkcjonującym, posiadającym własne struktury, gospodarkę, walutę, wydającym nawet w stanie wojny akty urodzenia.

Warto wspomnieć, że są także rzeczy, o których mówią liderzy Kalifatu, a są bliskie europejskim nacjonalistom. Głoszenie śmierci kapitalizmu i uwolnienie ducha od choroby konsumpcjonizmu przez radykałów, czy walka z syjonizmem i amerykańską pop-kulturą, a do tego militarystyczne wychowanie młodzieży. Kalifat charakteryzuje wyjątkowo profesjonalna propaganda. Wydawane są czasopisma wielojęzyczne, poradniki, klipy filmowe, z których jedne są promocją Kalifatu i idei dżihadu, a drugie brutalnymi egzekucjami pojedynczych osób lub całych grup. Kalifat swoich zbrodni nie boi się ujawniać w przeciwieństwie do rządów, czy organizacji odpowiedzialnych za ludobójstwa współcześnie, a wręcz się nimi szczyci jako wykonaniem słusnych wyroków na niewiernych. Prócz tych mordów jedną z rzeczy, które najbardziej szokuje Europejczyków jest niszczenie starożytnego dziedzictwa Bliskiego Wschodu. Rygorystyczna wersja sunnizmu jaką jest wahhabizm absolutnie zabrania odwiedzania miejsc historycznych, religijnych (poza Mekką i Medyną), ponieważ kojarzy to z bałwochwalstwem. Propaganda Kalifatu jest także skierowana do białych Europejczyków z przesłaniem o nawrócenie lub groźbą śmierci w innym przypadku. Co ciekawe wielu takie radykalne podejście nie zraża. Tysiące muzułmanów z Europy, a łącznie wręcz dziesiątki tysięcy wstępują w szeregi Państwa Islamskiego. Jest tzw. III pokolenie dżihadu. Możliwości przez potencjalnymi radykałami po ustanowieniu Kalifatu otworzyły się szeroko. Nawiązanie kontaktu z dżihadystami i zorganizowanie podróży na miejsce walk z „niewiernymi” nigdy nie było łatwiejsze, niż dzisiaj. A główni ochotnicy z Europy są pokoleniem urodzonym już w krajach europejskich, często z rodzin umiarkowanych religijnie. Wracając do wyboru nawrócenia, bądź śmierci, też nie jest to do końca przedstawiane przez Kalifat w sposób jednoznaczny. Często wspomina się o kontraktach dla chrześcijan na terenie Kalifatu, gdzie płacąc dodatkowy podatek i posiadając ograniczone prawa w kwestii swojej wiary posiadaliby oni ochronę i nie byłiby krzywdzeni.

Spójrzmy teraz na dzisiejszą Europę. Kościoły stoją puste, w niektórych miejscach Msze Św. odprawia się w najlepszym razie raz na miesiąc, gdy obok stoją meczety wypełnione po brzegi muzułmanami. Promowanie Islamu w Europie stoi na najwyższym poziomie nawet wyłączając radykałów, darmowe materiały promocyjne, teologiczne, czy profesjonalne nagrania promujące Islam, bądź byt muzułmanów w Europie. Warto zauważyć, że sporo innych religii uprawia taką silną propagandę np. buddyści, czy zielonoświątkowcy, ale już katolicy niestety nie. W Europie spadek wierzących i duchownych można zauważyć we wszystkich kościołach chrześcijańskich, jednak u muzułmanów tendencje są wzrostowe. I nie wynika to tylko z imigracji do Europy kolejnych osób z Bliskiego Wschodu i Afryki chociaż w tym należy doszukiwać się podstawy problemu.

Mnóstwo białych Europejczyków przechodzi z własnej woli na islam, czując pustkę duchową, widząc upadający katolicyzm na Zachodzie nie potrafiący sprostać

wrogiemu demoliberalizmowi, szukając akceptacji wśród kolegów, sąsiadów. Na manifestacjach radykałów islamskich w Wielkiej Brytanii zaskakującą rzeczą mogą być liczni biali uczestnicy. Na dodatek muzułmanie dołączają do walki w obronie tradycyjnego modelu rodziny, przeciwko homoseksualistom organizując marsze, pikety. Podobnie jak żydzi organizujący się w paramilitarnej milicji Shomrim w USA i krajach europejskich, muzułmanie zaczęli się organizować z ramach policji obyczajowej i próbować wdrażać w różnych dzielnicach miast prawo szariatu. W praktyce oznacza to: zakaz prostytucji i pornografii, zakaz stosowania narkotyków, zakaz hazardu, zakaz spożywania alkoholu, zakaz koncertów i słuchania muzyki. Co ciekawe, pomijając to ostatnie, zapewne znalazłoby się wielu zwolenników podobnych zasad wśród nacjonalistów.

Muzułmanie nie wyrzekają się swojej kultury i tożsamości duchowej w przeciwieństwie do Europejczyków. Zauważył to prezes węgierskiego Jobbiku Gabor Vona: „Warunkiem przetrwania świata jest zachowanie tradycyjnej kultury. Istnieje tylko jedna kultura, która trzyma się swoich tradycji. Jest nią świat islamu. Ostatnim bastionem tradycyjnej kultury, tej, która umiejętnie łączy to co transcendentne i codzienne, jest islam. Jeśli islam upadnie, wtedy zaniknie prawie całe światło i nic nie powstrzyma już ciemności globalizmu, a historia prawdziwie dobiegnie końca.”

Czy my, chrześcijanie europejscy, w tym nacjonaści, możemy coś zmienić? Obserwując z punktu widzenia osoby niewierzącej, bądź nie traktującej wiary katolickiej jako absolutu możemy dojść do wniosku, że katolicyzm przeminie jak kolejna z wielu religii, przynajmniej w Europie takie są tendencje i takie są doświadczenia historyczne ludzkości. Oczywiście, katolik takiego ciągu zdarzeń nie będzie sobie mógł wyobrazić i powinno go to zmusić do działania na rzecz obrony swojej cywilizacji i kultury. Jednak zarówno postawa większości katolików jak i Kościoła Katolickiego tego nie ułatwia. Od czasu II Soboru Watykańskiego następuje dramatyczne odejście od tradycji, w stronę liberalizmu tak ostro kiedyś przez Kościół przecież zwalczanego. Niemieccy hierarchowie kościelni w ostatnich miesiącach stworzyli wręcz antyrodzinne lobby idące ku liberalizacji podejścia Kościoła do tradycyjnej formy małżeństwa, a nawet do *in vitro*, czy aborcji. We Francji brak podstawowej ofiary dla Boga w postaci piątkowego postu, który został odwołany przez tamtejszy Kościół. W Polsce dozwolono przez hierarchów huczne imprezy w piątek, uważany za dzień śmierci Chrystusa na krzyżu. We Włoszech diecezja w elitarnej jednostce wojskowej zakazała liczącej 80 lat modlitwy, w której padają takie słowa: „Uczyń nas najsilniejszą bronią przeciwko tym, którzy zagrażają naszemu krajowi, fladze i tysiącletniej cywilizacji chrześcijańskiej.” Słowa te mogłyby bowiem obrazić imigrantów. Takich przypadków jest więcej.

Julius Evola też zwracał uwagę na problem odrzucania w Europie własnej tożsamości, w tym odchodzenia KK od swojej tradycji. Dla niego wzorem Kościoła, był ten z czasów krucjat. Gdy duchowość rycerzy idących na Świętą Wojnę była ogromna. Ówczesną walkę z islamem traktowano jaką transcendentną już założenia wygraną (gdyż katolicyzm może tylko i wyłącznie triumfować nad „niewiernymi”). Heroizm, ascetyzm i fanatyzm charakteryzował ówczesnych krzyżowców. W niczym nie ustępowali oni swym arabskim wrogom. Krucjatę uważano za pewien rodzaj czyśćca przed śmiercią, a sama śmierć miała być owiana wieczną chwałą. Pogardę dla śmierci pokazali między innymi rycerze w niewoli po słynnej bitwie pod Hittin w 1187 roku, gdy zaproponowano im ocalenie życia pod warunkiem wyparcia się Chrystusa. Nie tylko każdy z nich odmówił, a wręcz mieli rzekomo się przepychać w kierunku kata, bowiem każdy z nich chciał iść pierwszy na śmierć. Evola zauważył, że krzyżowcy i muzułmanie ścierający się na krucjatach posiadają pewne podobieństwa w etyce, zwyczajach, nawet symbolach i mimo różnicy, jak różne są ich wiary to przypisali świętej wojnie podobne, jeśli nie identyczne znaczenie sakralne.

Trzeba wspomnieć, że jeszcze wśród nacjonalistów polskich młodego pokolenia w latach 30. doszło wręcz do renesansu katolicyzmu, gdyż starzy endecy podchodzili do niego, czy samej wiary nawet z dystansem jak między innymi Dmowski podczas większej części życia. Nie dotyczy to tylko polskich nacjonalistów, w tamtym okresie Żelazna Gwardia Codreanu, Rex Leona Degrelle'a, czy Verdinaso Van Severena stawiały sobie Boga jako najwyższy cel. Wielu nacjonalistów dzisiaj w Europie nie jest wierzącymi chrześcijanami. Czy więc Europie jest możliwy taki renesans wiary?

Bojownicy Kalifatu w swojej propagandzie nazywają amerykańską armię „krzyżowcami”. Można dyskutować na temat roli wiary chrześcijańskiej w historii armii USA, jednak dziś porównanie żołnierza tak bezbożnej armii do uduchowionych rycerzy tamtych czasów może wydawać się śmieszne. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że w ramach programów równościowych na tle orientacji kazano żołnierzom tej armii nosić szpilki. A jak wygląda sama walka NATO i jego sojuszników z Kalifatem? Poza sporadycznymi operacjami specjalnymi, czy bombardowaniami jej nie ma. Za to siły powietrzne Turcji zabiły ponad 700 kurdyjskich bojowników, wśród których mogli być chrześcijańscy ochotnicy walczący z Kalifatem, Izrael dokonuje nalotów na siły wierne prezydentowi Syrii, sunnickie państwa w rejonie wspierają Kalifat po kryjomu, zaś rząd Iraku zamiast jednoczyć naród pogłębia podziały religijne.

W starożytnym Rzymie podczas męczeństwa chrześcijan, wielu dawało ogromne świadectwa wiary, które sprawiły następnie, że obywatele rzymscy mimo grożącej kary okrutnej śmierci przechodzili na chrześcijaństwo. W XXI wieku jesteśmy świadkami okrutnych prześladowań chrześcijan w Afryce, Bliskim i Dalekim Wschodzie. Jednak chrześcijanie wcale nie są bezbronni. W Afryce od dawna istnieją

chrześcijańskie milicje ścierające się z muzułmanami. W Libanie działała chrześcijańska, nacjonalistyczna Falanga. Obecnie wobec zagrożenia chrześcijan przez Kalifat Islamski powstała milicja Dwekh Nawsha, która rekrutuje także w Europie. Do tego dochodzą kolejne formacje chrześcijańskie walczące pod sztandarami Syrii, bądź Iraku. Problem jest niestety bardzo małe wsparcie dla takich wojujących chrześcijan, którzy na pomoc Watykanu nie mogą liczyć, gdy nawet sam papież potrafi stwierdzić, iż nie można być chrześcijaninem i zakupić broń palną, ponieważ wiąże się to ze wspieraniem przemysłu broni. O jakiegokolwiek krucjacie nie wspominając.

Próżno liczyć w Kościele na wsparcie takich chrześcijan. Co innego możemy zaobserwować w przypadku wojny na Ukrainie, gdzie fundacja Otwarty Dialog profesjonalnie zbiera sprzęt od hełmów, kamizelek kuloodpornych do podstawowych produktów dla batalionów ochotniczych, czy identyczne fundacje w Rosji wspierające separatystów. Kościół, który powinien być wzorem wydaje się ignorować takie sytuacje, a także wprawia swoją obecną ścieżką w zakłopotanie katolików sprzeciwiających się liberalizmowi. Trzeba jednak pamiętać, że Kościół jest wspólnotą wszystkich wierzących w obrządek rzymski i każdy z należący do niego powinien mieć świadomość, że jego wpływ może być realny na kształt całego Kościoła. Dlatego właśnie nacjonałści chrześcijańscy wydają się siłą, która może zacząć organizować tradycyjnych katolików.

Dziś Europa odcięła się od korzeni, tożsamości i swojego sacrum. Fanatykiem religijnym (oczywiście w negatywnym sensie) określa się dziś w mediach wręcz każdego pobożnego katolika. Piętnuje się wiarę jak zabobon, ciemnogród, coś na co nie ma miejsca w XXI wieku, równocześnie zaczyna się faworyzować w Europie wiary Europe obce kulturowo. Pustkę duchową po katolikach uzupełnia islam. Czy Kościół dziś będzie w stanie sprostać temu wyzwaniu? Czy jako Europejczycy zdecydujemy się znów walczyć? Wielu już to robi. Z zagrożeniem Kalifatu walczy wielu zachodnich ochotników. Grecy nacjonałści walczyli z radykalnym islamem w Syrii jeszcze przed powstaniem Kalifatu. Potem dołączyło wielu weteranów z Iraku i Afganistanu z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, a ostatnio można było usłyszeć nawet o antyfaszystach z Europy. Czy europejscy nacjonałści powinni także do nich dołączyć i walczyć z Państwem Islamskim, które zaczęło zagrażać Europie, oraz dać europejskim chrześcijanom prawdziwe świadectwo? Czy może powinni jednak pozostać i zmieniać Europę od wewnątrz zwalczając destrukcyjny demoliberalizm i wrogów, którzy nie przestają niszczyć cywilizacji łacińskiej? Który z tych wyborów może zmienić obecne tendencje? To pytanie pozostawię otwarte.

Witold Jan Dobrowolski

O renowację filozofii narodowej (przyczynek do odnowy fundamentów)

Każdy naród, jeśli chce przetrwać, jeśli chce istnieć, zobligowany jest do tworzenia własnej kultury. To ona jest źródłem i fundamentem tożsamości każdego Polaka, Węgra, czy Francuza. Kulturą każdy z nas posługuje się codziennie. Wbrew pozorom – nie tyczy się ona jedynie sztuki, czy muzyki. Możemy do niej zaliczyć niemalże każdą przestrzeń życia codziennego człowieka. Język, historia, przedmioty materialne, czy nawet obyczaje i normy – to wszystko jest właśnie wytworem kultury. Najprościej rzecz ujmując, kultura jest zbiorem elementów stworzonych dzięki myśli ludzkiej. Stoi ona w opozycji do natury, która jest związana ze stanami nienaruszonymi przez człowieka. Stany te funkcjonują swoim własnym rytmem odkąd powołał je Bóg i nie mają wpływu na własny los – są zdeterminowane prawami natury. Co ten wstęp ma wspólnego z tematem tego artykułu? Otóż najwyższym dokonaniem – dokonaniem, od którego pochodzą wszystkie inne obszary kultury – jest myśl ludzka i jej owoce. Wiąże się z nią wszystko, co dobre i złe w zachowaniu, inicjatywach oraz pomysłach człowieka. Dzięki myśli właśnie możemy mówić o wielkich dokonaniach techniki, sztuki, czy wielkich czynach wybitnych tego świata. Dlaczego tak się dzieje? To myśl jest zależna od woli ludzkiej i z niej – nie z jakichś deterministycznych praw – wynika nasza kreatywność oraz jej efekt w postaci twórczości. Istnieje wiele przesłanek, żeby twierdzić, iż to właśnie wokół mędrców, którzy byli biegli w myśleniu, czasem szaleni, oświeceni przez Boga, koncentrowało się życie społeczeństw istniejących przed starożytnością, przed historią. Jest to informacja o tyle ważna, że obecnie jesteśmy w stanie wiedzieć, iż Bóg wpływa na nasz los właśnie przez drugiego człowieka. Po Chrystusie to święci kierują losem świata i są osobowymi archetypami. Nie jest tak, że każdy z nich już od urodzenia jest swoiście „nadzwyczajny”. Do świętości jest powołany każdy z nas – chrześcijan – i tylko od nas zależy, czy wybierzemy drogę, która najbardziej będzie podobała się Bogu. Jest rzeczą pewną, że każdy święty niesie ze sobą jakieś przesłanie, że każdy jest jedyny w swoim rodzaju. Nie może być inaczej. Ludzie, co do których mamy pewność, że znaleźli się już u boku Pana, musieli być narzędziami w jego rękach, którymi On posługiwał się, żeby nieść światu Dobrą Nowinę. W jaki sposób człowiek może się upodobnić do tych wyjątkowych na przestrzeni dziejów osób? Poprzez religię, poprzez zbożny czyn, zbożne słowo, ale – nade wszystko – zbożną myśl. To właśnie dzięki nieustannej koncentracji na Bogu, ciągłym, myślowym trwaniu przy tym, żeby każdy krok poświęcać większej chwale Boga, mistycy tacy jak ojciec Pio osiągnęli krystalicznie czysty stan ducha zapisując się w historii na stałe. Jednak nie tylko wśród osób duchownych możemy zaobserwować wielkie poświęcenie obiektywnie najwyższym celom. Wśród wielkich świeckich w wielu narodach prym wiodą żołnierze idei. Polska ma swojego Jana Mosdorfa, Rumunia Corneliu Codreanu, Japonia Yukio Mishimę. Jest też wielu niezapisanych, niezapamiętanych wybitnych ludzi, którzy poświęceniem ideałom dowiedli swej

wielkości. W tej kategorii idealistów niepodważalnie ważną rolę odgrywają filozofowie. Każdy powinien wiedzieć choćby ze szkoły, iż filozofia („umiłowanie mądrości”) jako największa, najbardziej podstawowa z nauk, z której wynikają wszystkie nauki szczegółowe, nabrała kształtu dopiero dzięki swojemu męczennikowi i wybitnemu nauczycielowi pokoleń – Sokratesowi. Właśnie dzięki ludziom jego pokroju możemy mówić o wadze filozofii, o tym że może być ona sposobem na życie, o tym że można wręcz za nią umierać. Niektórzy porównują tę postać do samego Pana Jezusa określając go mianem Chrystusa filozofii. Postać Sokratesa jest jedyna w swoim rodzaju, ale ludzi wiernych do kresu swoich dni własnym ideałom i poświęcającym im swoją wolność jest znacznie więcej. Z historii XX wieku moglibyśmy wypisywać ich w nieskończoność, bo wojny światowe przyniosły ich nieprzebrane ilości. Przecież bohaterowie ginący za własny kraj też mogą być do nich zaliczani. Skąd brała się wiara milionów Europejczyków ginących w bratnich walkach? Z czego wynikała ich determinacja do walki za własne rodziny, narody i państwa? Otóż każdy człowiek będąc świadomym dziedzictwa, które ma za sobą i wiedząc, iż przyszły los, przetrwanie społeczeństwa, do którego on się zalicza, leży w jego rękach, ma dwa wyjścia – uciec lub walczyć. Ci, którzy wybierają bezkompromisową walkę, przechodzą do historii własnych narodów. Nie od dziś wiemy, że nie istnieje naród Europejczyków. Europa złożona jest z wielu mniejszych lub większych grup etnicznych. Każda z nich wyróżniać się powinna własnym językiem, historią i zajmowanym terenem. To podstawowe determinanty narodowe. Język i przynależny teren są rzeczami oczywistymi, ale do historii nie zaliczamy jedynie losów danej społeczności. Historia to pamięć, to dzieje i dziedzictwo – kultura narodu. Powrót do punktu wyjścia tego artykułu jest nieprzypadkowy, ponieważ dopiero w tym momencie rozważania o kulturze nabierają sensu. Jeden człowiek nie tworzy kultury. Tworzą ją społeczeństwa, etnosy i – co najważniejsze – narody. Nie ulega wątpliwości, że Polacy wytworzyli niezwykle bogatą kulturę narodową. Czy mamy jednak czym się szcycić w najdonioślejszej z jej dziedzin – filozofii? Tak, filozofia jest obecna na ziemiach polskich już od czasów pełnego średniowiecza. Pierwszym filozofem-Polakiem określa się Witelona. Był on mnichem, fizykiem i matematykiem, który zajmował się również filozofią. Co ważne, zachowywał on oryginalność myśli względem europejskich gigantów intelektu takich jak święty Tomasz z Akwinu, czy święty Bonawentura. W swej filozofii bazował przede wszystkim na filozofach muzułmańskich, dzięki którym prawdopodobnie mógł inspirować się Arystotelesem. Ta postać dowodzi tego, że już od niepamiętnych czasów Polacy wyróżniali się oryginalnością myśli i myli się ten, kto twierdzi, że filozofia polska stanowi tylko nieudaną kopię większych nurtów europejskich. Poza naszym filozoficznym pionierem wystarczy wspomnieć postacie, które powinien znać każdy Polak, takie jak: żyjący w epoce średniowiecza Paweł Włodkowic będący jednym z twórców polskiej szkoły prawa międzynarodowego; Mikołaj Kopernik, dzięki któremu świat uznał heliocentryczną wizję

Wszechświata, czy inni polscy myśliciele renesansowi mający swoje zasługi dla filozofii polityki tacy jak Andrzej Frycz Modrzewski, Wawrzyniec Goślicki, dzięki któremu ideały wolnościowe przeniknęły do Anglii, żeby przybyć następnie do Stanów Zjednoczonych; barokowy polityk i filozof Andrzej Maksymilian Fredro, nazywany przez niektórych polskim Tacytem; wielcy filozofowie doby Oświecenia pokroju Stanisławawa Staszica, duchownego, publicysty i działacza społecznego, pioniera spółdzielczości, czy Hugo Kołłątaja mającego spory wkład w kształt Konstytucji 3 maja; Kazimierz Twardowski, uczeń Brentany, wychowawca wielu pokoleń logików i filozofów, z których powstała szkoła lwowsko-warszawska, do której należeli między innymi Jan Łukasiewicz, autor logiki trójwartościowej będącej pierwszym nieklasycznym rachunkiem logicznym, Tadeusz Kotarbiński, twórca etyki niezależnej, Władysław Tatarkiewicz, wielki polski historyk filozofii, którego prace służą do dziś licznym adeptom „umiłowania mądrości”, czy wreszcie Alfred Tarski, uważany za jednego z najwybitniejszych logików wszech czasów, twórca semantycznej definicji prawdy i teorii modeli; Roman Ingarden, polski fenomenolog i uczeń samego twórcy tego nurtu filozoficznego – Edmunda Husserla; Edward Abramowski, teoretyk kooperatywności i inspirator wielu lewicowców będący przyjacielem samego Stefana Żeromskiego i pierwowzorem postaci Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”; Stanisław Brzozowski, wspominany na łamach „Szturmu” filozof będący w stanie łączyć syndykalistyczne koncepcje Sorela z nietzscheanizmem, który wprowadził na dobre marksizm do polskiej filozofii oraz stworzył „filozofię pracy”; słynny „Witkacy” – Stanisław Ignacy Witkiewicz zajmujący się również sztuką, pisarstwem filozof o nietuzinkowym charakterze, z którego wynikło wiele oryginalnych koncepcji; wreszcie znany i lubiany w polskim środowisku narodowym Feliks Koneczny, który przysporzył sobie popularności w Polsce dzięki swoim oryginalnym koncepcjom historiozoficznym i teorii cywilizacji. Tylu mamy wielkich myślicieli. Ciekawe, czy przeciętny Polak zna chociaż połowę z nich? Jest to kwestia co najmniej wątpliwa, bo przez beznadziejny system edukacji, Polacy nie mają szansy, żeby być dumnym z dokonań swoich przodków. Jest to jednak temat na oddzielny, może jeszcze obszerniejszy artykuł. Ważnym elementem polskiej filozofii jest również obecność na naszych ziemiach międzynarodowych autorytetów filozoficznych innych narodowości takich jak Immanuel Kant, który żył, pracował i tworzył w Królewcu, czy Arthur Schopenhauer – rodowity Gdańszczanin. Współcześnie również można wyróżnić licznych polskich naukowców zajmujących się filozofią i mających międzynarodowe uznanie. Są nimi między innymi: Zygmunt Bauman, człowiek o niechlubnej przeszłości komunistycznego zbrodniarza, któremu nie można jednak odmówić tęgiego umysłu, ponieważ jest on jednym z głównych teoretyków postmodernizmu, który – chcemy, czy nie – odgrywa ważną rolę we współczesnej filozofii; filozofowie analityczni jak Jan Woleński, kontynuator tradycji szkoły lwowsko-warszawskiej będący obecnym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, czy Bohdan Chwadeńczuk pracujący na Uniwersytecie

Warszawskim i mający w swoim dorobku mnóstwo przetłumaczonych pism filozoficznych; przedstawiciele warszawskiej szkoły historyków idei – odznaczona Orderem Orła Białego, Barbara Skarga, czy największy współczesny popularyzator filozofii i wybitny myśliciel będący związany przez pewien czas z marksizmem, Leszek Kołakowski; wszyscy reprezentanci Lubelskiej Szkoły Filozoficznej – od o. Mieczysława Krapca, wieloletniego rektora KUL, przez postaci takie jak Stefan Swieżawski, który był jednym z najwybitniejszych współczesnych neotomistów, czy święty Jan Paweł II, aż po pokolenie obecnych wykładowców KUL takich jak Henryk Kiereś, Paweł Tarasiewicz, czy Andrzej Maryniarczyk, którzy oddani są zgłębianiu i aktualizowaniu myśli tomistycznej, chrześcijańskiej, klasycznej. Autentycznie Polacy mają być z czego dumni – filozofia jako jedna z obecnie mniej popularnych, choć wciąż najważniejszych dziedzin nauki obrała sobie Polskę jako prawdziwy bastion poszukiwaczy prawdy, kreatorów myśli. Jak wyróżnieni myśliciele mogą mieć się do polskiego nacjonalizmu i z których z nich narodowcy mogą zaczerpnąć najwięcej? To powinno interesować nas najbardziej. Chcąc tworzyć nowoczesną, czysto polską myśl narodową musimy mieć do niej podwaliny filozoficzne. Celowo dotychczas nie został wspomniany nurt, co do którego użyteczności wielu realistycznie zorientowanych współczesnych narodowców może mieć wielkie wątpliwości. Nurt ten powszechnie jest kojarzony bardzo jednoznacznie, choć w swej istocie stanowi niezwykle rozbudowaną, dotykającą wielu filozoficznych dziedzin myśl, która w swych zamiarach zawsze pretendowała do bycia wyróżnikiem filozofii związanej z Polską na tle tych z innych krajów. W zasadzie właśnie dzięki niemu można używać określenia takiego jak „filozofia polska”. Mowa oczywiście o mesjanizmie polskim, zwanym inaczej filozofią narodową. Pierwowzorem tego czysto polskiego nurtu filozoficznego był sarmatyzm. Nie może on być – podobnie jak mesjanizm – traktowany zupełnie jednowymiarowo, ponieważ zawiera w sobie nie tylko naukowo zasadną teorię o pochodzeniu Polaków, ale również – może przede wszystkim – zbiór norm, obyczajów, przekonań religijnych i politycznych, więc konstruktów myślowych będących determinantami życia naszego narodu od pokoleń. Jednym z prominentnych „ideologów sarmatyzmu” był wspomniany już Andrzej Maksymilian Fredro, który w swoim oryginalnym dziele „Monita politico-moralia” kładzie nacisk na konieczność kultywowania sarmackiej wolności, obyczajów oraz zachęca do odcięcia się od wpływów Europy Zachodniej. Niepodobna sprostać w ramach tego artykułu ze szczegółowym opisem zjawiska sarmatyzmu i nie o nim wyłącznie ma traktować tekst. Jest ono jednak istotne do zrozumienia o wiele szerszego, bardziej kompletnego nurtu w myśli polskiej, którym jest mesjanizm. Właśnie w polskim, sarmackim baroku pojawiały się pierwsze wypowiedzi literackie mogące uchodzić za mesjanistyczne. Można je zaobserwować nawet u najbardziej typowego przedstawiciela sarmatyzmu, którym był Wespazjan Hieronim Kochowski – poety, historyka i szlachcica z Małopolski. Oto jego utwór „O wolności polskiej”:

„Wieleć mamy swobód w tej naszej koronie
Cóż gdy się nie staramy i nie dbamy o nie
Przeważa prywatnych pożytków chciwości
Bardziej dbamy o włości, a nie o wolności
Słobody niż swobody głowę nam mozolą
Niż złotą wolność bardziej złoto wolą”

W utworze obserwujemy pochwałę szlacheckich swobód, które mają przeważać nad prywatą. Biorąc pod uwagę powszechne, stereotypowe spojrzenie na sarmatyzm, jest ona również dość oryginalna, ponieważ odnosi się zarówno do narodowych przywar Sarmatów, jak i do ich cnót. Nie jest więc zwyczajem sarmackich autorów – wbrew utartej opinii – podejście bezkrytyczne do charakteru Polaków. Wojciech Dębołecki, kolejny z sarmackich autorów, który należał do zakonu franciszkanów konwentalnych, popełnił dzieło „Wywód jedynowłasnego świata”, w którym stara się udowodnić, że nasz naród wywodzi się od starożytnego, irańskiego plemienia Scytów, które było spokrewnione z Sarmatami. Ponadto zakłada, że językiem słowiańskim posługiwali się już Adam i Ewa w Raju i że wywodzą się od niego łacina, greka oraz wszystkie późniejsze języki narodowe. Dzieło Dębołeckiego jest wyrazem silnej megalomanii narodowej, ale czy ma ono coś wspólnego z mesjanizmem? Owszem, ponieważ u licznych mesjanistów jeden z jego aspektów polega właśnie na kulcie narodu i przekonaniu o szczególnym powołaniu, szczególnej misji dziejowej Polaków. Z pozoru niemożliwe do połączenia lub bardzo odmienne koncepcje Dębołeckiego i Kochowskiego dzięki mesjanizmowi nabierają nowego wymiaru. Obie przecież – w różnym stopniu – zakładają wyjątkową rolę narodu polskiego, jego szczególny charakter na tle pozostałych społeczeństw. Idąc dalej, sięgając do epoki Oświecenia, ludzi, których można byłoby uznać za mesjanistów lub narodowych filozofów, można dostrzec chociażby wśród członków przedrozbiorowych ugrupowań politycznych – Familii i całego Stronnictwa Patriotycznego. Były to porozumienia w społeczeństwie polskim zawiązywane w celu poprawienia stanu Rzeczypospolitej. Rodzina zrzeszała Polaków zorientowanych wokół magnackich rodów Czartoryskich i Poniatowskich, którzy przejawiali szczególny patriotyzm z gotowością do poświęceń i wystąpieniu przeciwko władzy. Łatwo domyślić się, że to stronnictwo musiało mieć swoich twórców, którzy rozwijali je światopoglądowo. Byli nimi między innymi: Michał Fryderyk Czartoryski, będący mistrzem sztuki politycznej, o którym Władysław Konopczyński, historyk-narodowiec II RP pisał „Kadził Radziwiłłom, zyskiwał Sapiechów i Ogińskich, zaprawiał Sosnowskich i Przeździeckich; znał jakoby z imienia i nazwiska sto tysięcy szlachty, jej interesy i aspiracje; uparcie rekomendował królowi zdolnych do wakansów, o sobie niewiele pamiętając”; Andrzej Hieronim Zamoyski, który swoim światopoglądem wpływał nawet na dzieła Stanisława Staszica; Stanisław August Poniatowski, ostatni król Polski i piewca Oświecenia. Każdy z tych polskich patriotów z pewnością

był przekonany o tym, że nasz kraj musi istnieć, że wiele ma jeszcze do powiedzenia w dziejach. W końcu wszyscy swoje życie poświęcali na to, żeby tak było. Taka postawa mogłaby świadczyć o ich nieświadomym mesjanizmie. Jeszcze szerszym ruchem – ruchem, który można byłoby uznać za inicjatywę prawdziwie narodową – było Stronnictwo Patriotyczne, do którego należał cały przekrój ówczesnego społeczeństwa polskiego, a które było powołane w związku z Sejmem Wielkim. Prawicę i szlachtę reprezentowali Ignacy i Stanisław Kostka Potoccy oraz Adam Kazimierz Czartoryski. Centrum zorientowane było wokół marszałka Sejmu – Stanisława Małachowskiego. Lewica natomiast to przede wszystkim zwolennicy księdza Hugona Kołłątaja, wśród których byli nawet rewolucyjnie zorientowani jakobini polscy. Warto dostrzec, że w tamtym okresie trójpodział sceny politycznej miał sens, ponieważ wynikał on z dużych różnic społecznych, więc biorąc pod uwagę obecny, niestanowy podział społeczeństwa, dzisiejszy nacisk na absurdalność dzielenia politycznego spektrum na lewicę, prawicę i centrum jest rzeczywiście zasadny. Wracając do Stronnictwa Patriotycznego – jemu również trudno odmówić patriotyzmu oraz można zaryzykować stwierdzenie o mesjanizmie jego liderów. Uprzedzając posądzenia o nadużywanie pojęcia mesjanizmu, warto dostrzec, iż nie jest ono zarezerwowane jedynie dla stanowisk, które wybijają Polaków ponad inne narody. Mesjanizm jest niejednorodnym ruchem myślowym, o którego fundamentach stanowią dobierane w różnych konfiguracjach kwestie metafizyczne – nie polityczne, czy zwyczajnie szowinistyczne. Jakże? Dla większości z przedstawicieli jest to teizm, wiara w wieczność duszy oraz jej prym względem materii, wizja obrania określonego czynnika (przeważnie filozofii lub narodu) jako narzędzia do zbawienia ludzkości, nacisk na metafizyczność narodu, który jest obcowaniem duchów i tylko w nim człowiek może realizować się w pełni oraz historiozoficzny pogląd o decydującej roli narodów w dziejach ludzkości. Te na wskroś nacjonalistyczne tezy są częścią wspólną większości z idei filozofów mesjanistycznych. Powinien je wyznawać każdy współczesny polski narodowiec. Należałoby jednak powrócić do przeszłych Polaków. Postacią kluczową spośród nich, będącą jednym z twórców dojrzałej myśli mesjanistycznej, jest Józef Hoene-Wroński. To on wprowadził bowiem pojęcie mesjanizm, którym później posługiwali się jego następcy. Inspirował się on w swoich rozważaniach przede wszystkim Heglem. Podobnie jak on, Hoene-Wroński chciał stworzyć kompleksowy system filozoficzny obejmujący całość obszarów rzeczywistości. Natomiast w przeciwieństwie do swojego autorytetu uznał absolut za źródło bytu oraz wiedzy. Wartość politycznych koncepcji Heglowskich dostrzega w swoim artykule „Czy filozofię Hegla należy zrehabilitować?”, kolega Michał Kowalczyk z tygodnika „Polska Niepodległa”. Warto jednak zachęcać polskich narodowców do skłonienia się bardziej ku naszym rodzimym filozofom. Jak już zostało podkreślone – jest z czego czerpać. Nie wolno nam zamykać się na inspiracje z zewnątrz, ale bez zgłębienia własnych myślicieli, nie mając porównania niewiele jesteśmy w stanie stwierdzić

o tym, w czym myśl polska jest lepsza lub gorsza od obcej, a to wydaje się kluczowe, jeśli chce się do kogoś odwoływać. Jednym z Polaków, którego powinien znać każdy jego rodak i każdy wykształcony Europejczyk i który swą wielkością dorasta bez wątplenia postacią pokroju króla Jana III Sobieskiego, czy bliższych naszym czasom krystalicznym osobom takim jak Witold Pilecki lub święty Jan Paweł II, jest Adam Mickiewicz. Wspomnienie o nim w kontekście mesjanizmu jest sprawą konieczną. Niestety ze szkoły mało znamy go od strony politycznej, czy filozoficznej. To właśnie Bard Słowian zasługuje na miano propagatora mesjanizmu polskiego i – tym samym – polskiego interesu narodowego w największych ośrodkach naukowych Europy. Dzięki niemu mesjanizm jest filozofią narodową – przede wszystkim przez wzgląd na dołączenie do niego czynnika narodowej historii oraz mistyki religijnej. Program, który nasz wieszcz zawarł w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego”, stał się kanwą zmian narodowo-wyzwoleńczych w Niemczech, Włoszech, Irlandii, na Ukrainie, czy na Węgrzech. Jeśli mamy poznawać ludzi po owocach, to właśnie skuteczność Adama Mickiewicza i jego koncepcje powinny być fundamentem nowoczesnego polskiego nacjonalizmu. Szczególnie dzisiaj, w dobie zapotrzebowania na narodową rewolucję powinniśmy uważnie go czytać inspirując się głębią jego myśli. Również on jednak nie był jednostką bez inspiracji. Ciągłość idei mesjanistycznej trwa. Mickiewicz nie jest samodzielnym jej twórcą. Mesjanizm wynika z narodu, działa poprzez naród i dla narodu jest kreowany. Prekursor romantyzmu w Polsce – Józef Gołuchowski – postawił kres epoce Oświecenia wprowadzając do Polski typowe dla epoki romantyzmu idee prymu uczucia, intuicji, wzniosłości oraz konieczności walki i poświęcenia dla szczytnych celów. Ponadto głosił koncepcję zhierarchizowanego i boskiego tworu państwa-narodu. Swoim nowatorstwem przetarł szlak dla kolejnych pokoleń mesjanistów. Przyjacielem Gołuchowskiego był jeden z trzech wielkich niemieckich idealistów – Friedrich Schelling. Niemiec wywarł duży wpływ na polskiego mesjanistę. Inspiracją dla polskich filozofów narodowych mógł być również Johann Herder – niemiecki teoretyk idei narodu. Nie sposób pominąć w tych rozważaniach inicjatywę mesjanistyczną Andrzeja Towiańskiego – Koło Sprawy Bożej. Ta sekta moralno-religijna skupiała wielu wybitnych polskich mesjanistów. Sam Towiański był radykalnym zwolennikiem połączenia mistycyzmu z ideami politycznymi. Można rzec, że jego dualistyczna wizja świata – podział na jasne i ciemne „kolumny” będące odpowiednikami dobrych i złych społeczeństw – była podobna do manicheizmu. Towiańczycy (członkowie Koła Sprawy Bożej) idealizowali Napoleona twierdząc, że był pierwszym piewcą demokratyzacji świata. Uznawali przy tym, iż są kontynuatorami jego posłannictwa. Do członków tej sekty należeli między innymi Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki i Seweryn Goszczyński. Ta osobliwa organizacja potrafiła łączyć w sobie nawet zażartych wrogów w postaci dwóch wspomnianych wieszczów narodowych. Właśnie Słowacki, wraz z mniej znanym pisarzem Kazimierzem Brodzińskim, staje – jak nietrudno się domyślić – w opozycji do

Mickiewicza poprzez tworzenie koncepcji mesjanistycznego winkelriedyzmu narodowego Polaków. Ta idea jest przez niektórych stawiana w opozycji do całego mesjanizmu, ale w szerokim jego traktowaniu nie można sobie na to pozwolić. Zakłada ona, że Polska ma poprzez własne poświęcenie, poprzez narażenie się na stratę bytu (w domyśle państwowego) przetrzeć szlak do wolności Europy. Brodziński nie używa w swoich dziełach postaci Winkelrieda, ale opowiada się za tą samą, cierpiętniczą wersją mesjanizmu co Słowacki. Zupełnie innym mesjanistą jest Seweryn Goszczyński. Poeta ten był zwolennikiem rewolucji, ale cały romantyczny irracjonalizm ukierunkował dla określenia spraw swojej małej ojczyzny – Ukrainy. Przeciwnie robił Mickiewicz wykorzystując perspektywę lokalną do określenia kwestii romantycznych. Goszczyński jest zaliczany do „szkoły ukraińskiej” polskiego romantyzmu. Kolejnym mesjanistą, który nie może pozostać bez wzmianki, jest Ludwik Królikowski. To nader interesujący Polak, który był głęboko uduchowionym komunistą. Jego myśl była nasycona podkreśleniem wagi religii. Polska według niego miała stać się kamieniem węgielnym świata, który ma nadejść – Królestwa Bożego. Mesjanistą, u którego można było zaobserwować elementy nacjonalizmu, był August Cieszkowski. W jego przypadku można mówić już o dozach nacjonalizmu, ponieważ był jednym z założycieli Ligi Narodowej Polskiej – organizacji solidarystycznej działającej na terenie Wielkopolski i Pomorza w latach 1848-1856. W sferze ideowej Cieszkowski podkreślał rolę Kościoła katolickiego dla Polski, wierzył, że Polacy są powołani do wpływu na rzeczywistość, na jej społeczno-moralny wymiar oraz pisał o szczególnej roli dziejowej Słowian. Przebywając w Paryżu wywierał silny wpływ na ojca anarchizmu, Proudhona oraz na samego Karola Marksa. Ostatnim przedstawicielem tego przeglądu pierwszych dojrzałych mesjanistów żyjących w XIX wieku jest kobieta – Eleonora Ziemięcka. Jest ona uznawana przez wielu za pierwszą polską kobietę-filozofa. U podstaw jej myśli filozoficznej leży chęć pogodzenia samodzielności myślowej człowieka z chrześcijańską wiarą – rozumem z wiarą. Filozofia narodowa nie kończy się jednak wraz z XIX wiekiem – później jest kontynuowana przede wszystkim przez przedwojennych narodowców. Najważniejszym z nich był Wincenty Lutosławski. Wyróżnił się on oryginalnością swoich koncepcji, które zakładały syntezę idealizmu platońskiego z mesjanizmem. Elementy mesjanistyczne można dostrzec również u Mariana Reutta w jego idei militaryzacji narodu oraz samego Romana Dmowskiego, którego słynny cytat o stosunku katolicyzmu do polskości, czy chęć zdefiniowania metody ukształtowania Polaków, wyciągnięcia ich z marazmu wpisują się idealnie w mesjanizm. Czy dzisiaj istnieje szansa na odnowę tego, co przez wieki budowały pokolenia myślicieli polskich? Po przejrzeniu historycznego spektrum filozofii polskiej uznać trzeba, że nie tylko stoimy przed taką szansą, ale mamy moralny obowiązek, żeby nie sprzeniewierzyć naszego dziedzictwa, żeby kultura Polski mogła stanąć na nogi oraz żeby wywiodła naszą cywilizację z letargu. Wniosek ten nasuwać się powinien naturalnie po ujrzeniu tak imponującego dorobku myślowego jak ten, który nosi w sobie

naród polski. Tylko ponowne zwrócenie się ku własnym, narodowym dążeniom do doskonałości, do ideału, może przywrócić Polsce podmiotowość na arenie międzynarodowej oraz podnieść ją z moralnego upodlenia. Rola współczesnych filozofów jest w tym kluczowa. Nie tylko poeci i artyści są odpowiedzialni za morale, czy stan kulturowy danego społeczeństwa. Równą im lub nawet większą rolę zajmują filozofowie i wszelkiej maści konstruktorzy idei. Często ich role wzajemnie się przeplatają. Najważniejszą kwestią dla przyszłości Polaków są więc zdolności ideotwórcze naszych ówczesnych wychowawców i autorytetów intelektualnych. Poszerzając myśl Stanisława Staszica o zależność kształtu Rzeczypospolitych od wychowania młodzieży, można postawić tezę o konieczności uznania za kluczowe dla losów Polski wychowania całego narodu. Polacy są bowiem rządem dusz, zbiorem pokoleń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, który powinien być kształtowany do swej najwyższej narodowej aspiracji – Zbawienia. Można to osiągnąć tylko poprzez nieustanną pracę twórczą.

Michał Walkowski

„Regnabit” – na pograniczu katolicyzmu i ezoteryzmu

Kult Najświętszego Serca Jezusowego, oparty na objawieniach św. Małgorzaty Marii Alacoque, jest dość powszechnie znany w świecie. Mniej znane są losy pewnego środowiska, które poczyniło spore kroki w propagowaniu tegoż kultu. Mowa tu o czasopiśmie „Regnabit”, wydawanym w latach 1921-1929.

Magazyn ten kojarzony jest współcześnie – przynajmniej w kręgach co bardziej „poszukującej” prawicy – z postacią Rene Guenona (1886-1951), który rzeczywiście z pismem tym przez kilka lat współpracował. Guenon, jak wiadomo, nie był katolikiem, jakkolwiek w pewnych okresach swego życia był chyba za takiego uważany. Wziął m.in. ślub kościelny, publikował w pismach prawicy katolickiej („La France anti-maçonnique”), przychylnie wyrażał się o chrystianizmie. W istocie jednak, w czasach swej aktywności na łamach „Regnabit”, myśliciel ów był już inicjowany w ezoteryzm islamski (sufizm), a także w tradycję Wedanty.

Na łamach „Regnabit” nazwisko Guenona pojawiało się w latach 1925-1927, później – po 19 artykułach – współpraca ustała. Było to związane przede wszystkim z faktem, że dostarczane przezeń materiały coraz bardziej odbiegały od dopuszczalnej ortodoksji, brnąc w stronę swego rodzaju ezoterycznego ekumenizmu, z którym zresztą Guenon jest najlepiej kojarzony. Co więcej, swoje przekonania francuski tradycjonalista (integralny) jeszcze bardziej jawnie wyrażał poza stronicami „Regnabit”. Dość powiedzieć, że już w roku 1921 opublikował pracę „Introduction générale à l'étude des doctrines hindoues”, a w 1924 książkę „L'Homme et son devenir selon le Védânta”.

Samo pismo „Regnabit” miało znacznie starsze korzenie niż rok 1921. Jego twórcą był ojciec Feliks Anizan, urodzony w roku 1878 (a zmarły dopiero w 1944). Tak naprawdę musimy jednak cofnąć się jeszcze dalej, do lat 60. XIX wieku. To wtedy na katolicyzm nawrócił się hiszpański arystokrata, baron Alexis de Sarachaga (1840-1918). Pierw liberał i republikanin, później stał się monarchistą, ale bardzo specyficznym, zgoła ezoterycznym – myślącym o przekuciu kultu Serca Jezusa w narzędzie polityczne. Nie w sensie dyplomatycznych gier, ale raczej przemiany świata w duchu chrześcijańskim.

Sarachaga poznał Viktora Drevona (1820-1880), jezuitę propagującego kult Serca i społeczne panowanie Chrystusa Króla. W 1873 obaj powołali do życia organizację Hieron du

Val d'Or, wokół której zresztą narosło dużo legend. Trudno je zweryfikować bez dogłębnego wniknięcia w źródła, w głównej mierze oczywiście francuskojęzyczne. W każdym razie było to stowarzyszenie o aspiracjach ezoteryczno-katolickich, poruszające się na obrzeżach ortodoksji.

Pierluigi Zoccatelli z organizacji CESNUR (badającej nowe ruchy religijne) podaje (podobnie jak np. William H. Kennedy), że organizacja ta stawiała sobie „cztery wyraźne cele”. A mianowicie chciała dowieść, że chrześcijaństwo wywodzi się z mitycznej Atlantydy – to znaczy, mówiąc ściślej, że tam tkwią korzenie prawdziwej religii, której dalsze losy przedstawia Biblia. Poza tym próbowała odtworzyć „uniwersalną tradycję świętą” (co pachnie gnozą), przygotowywała się na rok 2000 (w którym upatrywała momentu ustanowienia panowania politycznego i społecznego panowania Chrystusa) oraz głosiła potrzebę walki z masonerią – i to poprzez tworzenie swego rodzaju kontrmasonerii.

Organizacja miała siedzibę w Paray-le-Monial, gdzie zbudowała zresztą swoje centrum – budynek zbliżony architekturą do świątyni jońskiej, ozdobiony napisem „A Jesus-Hostie-Roi” (Jezusowi – Hostii-Królowi). Mieściło się tam (i nadal mieści) muzeum eucharystyczne.

Ludzi związanych z Hieron szczególnie interesował symbolizm religijny czy np. zagadnienia sakralnej geometrii. Takie też motywy przewijały się w „Regnabit”. Feliks Anizan regularnie odwiedzał sanktuarium w Paray-le-Monial, a od 1909 roku skoncentrował swoją aktywność (swój apostołat) właśnie na doktrynie Serca. „Regnabit” został powołany do życia, jak wiemy, 12 lat później. Pełna nazwa tego pisma to: „Regnabit. Revue universelle du Sacré-Cœur”. To znaczy: „Międzynarodowy Przegląd Świętego Serca”. Pismo miało pewne wsparcie duchowieństwa, np. kardynała Louisa-Ernest Dubois, a nawet otrzymało specjalne błogosławieństwo od kardynała Gaspariego, znanego ze słynnego katechizmu.

Organizacja Hieron jeszcze wtedy istniała, zaś po śmierci Sarachagi, została – tak przynajmniej określa to Zoccatelli – zreorganizowana w bardziej ortodoksyjnym duchu przez państwo de Noaillet (Georgesa Gabriela i Martę). Działał też niejaki Paul Le Cour (1871-1954), który nawet (w roku 1954) powołał do życia pismo „Atlantis”, rozwijające wątki interesujące Sarachagę. Ba, założył on nawet Société des Etudes Atlantéennes, czyli stowarzyszenie oddane tego rodzaju studiom. Le Cour był jednak typowym ezoterykiem, nawet astrologiem, co siłą rzeczy oddala go od katolickiej ortodoksji (niemniej kontakt z nim utrzymywała Jeanne Lépine, współpracownica państwa de Noaillet).

Gdy pani Lepine i Marta de Noailat umarły (w roku 1926) organizacja Hieron niemal zamarła. Georges Gabriel de Noailat w roku 1930 przyjął święcenia kapłańskie. Pismo "Regnabit" istniało do roku 1929.

Magazyn miał pewien oddźwięk za granicami Francji. Na przykład wzmianki o nim znajdujemy w polskim piśmie „Pro Christo. Wiara i Czyn”, mającym podtytuł „Organ Młodych Katolików”. W numerze 2 z r. 1927 czytamy recenzję jednego z numerów francuskiego pisma:

„Zeszyt styczniowy zawiera na wstępie rozprawę specjalisty, L. Charbonneau-Lassay na temat starożytnej ihomografii [sic!] Najświętszego Serca. Dalej idą dokumenty gromadzone stale przez redaktora miesięcznika ks. F. Anizana, stwierdzające, że Serce Jezusowe i Jego Boska miłość stanowi centrum planu Bożego. Ks. Lucjan Buron prowadzi wytrwale kalendarz Serca Jezusowego, w którym notuje dzień za dniem ważniejsze fakta, których sprawczynią była miłość Serca Jezusowego: myśl piękna i praktyczna, prowadząca do codziennego współżycia z Jezusem. (...) Zeszyt lutowy demaskuje we wstępnym artykule pióra ks. Anizana dążenia masonerii, zmierzające do zdeprawowania myśli chrześcijańskiej. Artykuł oparty na dokumentach masońskich aż się prosi o przetłumaczenie. Ks. Anizan wskazuje w nim, jako antidotum przeciw zakusom masonerii, Intronizację, wprowadzającą Serce Jezusowe do myśli współczesnej. (...) Charbonneau-Lassay wśród zabytków ihomografii przedstawia nam krzyż, na którym zamiast Ukrzyżowanego widzimy pięć Serc przybitych gwoździami, symbolizujących pięć ran miłości.” *

Padło tu nazwisko Charbonneau-Lassay. Louis Charbonneau-Lassay, urodzony w roku 1871, był jednym z ciekawszych badaczy symbolizmu religijnego, w szczególności chrześcijańskiego. Na łamach „Regnabit” pojawił się na zaproszenie kardynała Dubois (już w roku 1922). Ten bogaty arystokrata prowadzący liczne badania nad symboliką i sztuką, ubarwiał magazyn ks. Anizana licznymi materiałami o takiej właśnie tematyce, a zarazem to właśnie on wprowadził Guenona w krąg autorów pisma.

Charbonneau-Lassay, zmarły w roku 1946, był zresztą ciekawą postacią. Numizmatyk, kolekcjoner, heraldyk, archeolog, historyk, erudyta-samouk i poniekąd pasjonat ezoteryzmu, utrzymywał, że ma związki z dwoma półtajnymi, chrześcijańskimi bractwami inicjacyjnymi, rzekomo mającymi korzenie jeszcze w średniowieczu. Jednym była „Wewnętrzna Gwiazda” (Etoile Internelle), drugim natomiast „Fraternité des Chevaliers du Divin Paraclet” (Bractwo Rycerzy Boskiego Parakleta). Trudno jednak powiedzieć, czy istniały one naprawdę. Tu i

ówdzie Charbonneau-Lassay bywa zresztą traktowany po trosze jako mitoman-fantasta, ale oczywiście najciekawszy są właśnie ludzie z jakimś interesującym „pęknięciem”. W każdym razie jego najbardziej znane dzieło to wydawana także i dziś książka „Le Bestiaire du Christ” (Bestiariusz Chrystusa).

Co do Guenona, to na łamach „Regnabit” przedstawił m.in. teksty o symbolice Graala, znaczeniu płomiennego Serca, symbolice krzyża i swastyki, idei środka i ziemi świętej w rozmaitych tradycjach religijnych etc. Były to zresztą dość typowe dlań tematy. Jak jednak wiemy, współpraca zakończyła się po ok. 2 latach, a kilka lat później Guenon opuścił Francję, by dożyć swych dni w Kairze jako muzułmanin.

Pismo „Regnabit” i organizacja Hieron du Val d'Or pozostały w historii jako wspomnienie bardzo specyficznej epoki we Francji XIX wieku i pierwszej połowy stulecia XX. Był to okres, w którym z jednej strony rozkwitało różnego rodzaju podziemie okultystyczne i teozoficzne (a nawet satanistyczne), z drugiej natomiast funkcjonowały organizacje i środowiska podejmujące, jak to widzieliśmy, próbę swego rodzaju skontrolowania tych negatywnych trendów na ich własnym polu – ezoterycznym, jeśli można to tak określić. Czyciele Najświętszego Serca, prototradycjoniści integralni, nawróceni (lub nie) poeci i pisarze dekadentyzmu w typie Huysmansa, arystokraci łączący dandyzm z dewocją, księża pełni wiary i księża-renegaci, odpływający w odmęty praktyk magicznych, marzyciele rozmyślający nad nowym, świętym imperium katolickim – albo gnostycznym, szemrani wizjonerzy i astrologowie – tacy właśnie ludzie byli w tym świecie obecni. Co ciekawe, jak pokazuje choćby przykład Guenona, środowiska te nierzadko przenikały się i nie zawsze było jasne, kto jest po czyjej stronie i który ezoteryzm jest jeszcze ortodoksyjny, a który kontrinicjacyjny i co właściwie miałyby to znaczyć.

Ale to już przeszłość. Wypada tylko przywołać ostatnie zdanie z „Lamparta” di Lampedusy: „Potem wszystko zamarło w usypisku sinego kurzu”.

Roch Witczak

Linki:

<http://www.cesnur.org/paraclet/guenon.html>

<http://www.cesnur.org/paraclet/>

<http://www.naszdziennik.pl/mysl/99825,najswietsze-serce-jezusa-i-zycie-polityczne.html>

<http://gallica.bnf.fr/ark:/12148/cb32850416j/date>

<http://www.wbc.poznan.pl/dlibra/plain-content?id=141020>

<http://www.rhedesium.com/documents-of-interest.html>

http://quintessentialpublications.com/twyman/?page_id=37

<http://www.gianfrancobertagni.it/materiali/reneguenon/regnabit.pdf> – zbiór tekstów Guenona dla Regnabit

* Zachowano oryginalną pisownię (przyp. red.)

Nasza walka

Wszyscy jesteśmy z niej dumni. Często się na nią powołujemy. Powstają nawet utwory muzyczne jej poświęcone. Mówimy o niej z niemalże religijnym namaszczeniem. Ale właściwie to czym ona jest? Czemu poświęcamy jej każdą wolną chwilę?

Nasza Walka, bo o niej oczywiście mowa ma przypuszczalnie bardzo wiele znaczeń. Dla niektórych to miłe wspomnienia „lat walk ulicznych”, czyli gorących lat 90. Dla innych subkulturowy styl i towarzysząca mu otoczka „złych chłopców”. Pewnie dla niektórych to walka o „normy podpisów” zebranych przy okazji kolejnych wyborów. Jeszcze innym na myśl przychodzi nieustanna walka z demoliberalnym systemem.

Tymczasem wszystkie interpretacje znacznie odbiegają od tego czym rzeczywiście jest, albo raczej powinna być, „nasza walka”. Oczywiście zewnętrznym objawem i marginesem tego co mieści się w tym pojęciu mogą być wymienione wyżej perspektywy. Natomiast żadna z nich nie precyzuje samej istoty pojęcia, które dla nacjonalisty to coś więcej, coś łączącego w sobie dwa aspekty : wewnętrzny (o którym niestety prawie w ogóle się nie pamięta) i zewnętrzny.

Aspekt wewnętrzny to nieustanna, codzienna walka z samym sobą. W czasach w jakich przyszło nam żyć jest to o wiele trudniejsze niż w latach 30. XX w. Nasi protoplaści funkcjonowali w zupełnie innej rzeczywistości. O ile represje systemu były o wiele dalej posunięte niż obecnie, o tyle prądy ideowe rządzące umysłami europejskich narodów były całkiem pozytywne dla rozwoju narodowego radykalizmu. Dzisiaj może i nie siedzimy w Berezie Kartuskiej, ale rzeczywistość społeczno-polityczna zupełnie nie akceptuje odstępstwa od ogólnie przyjętych norm, stylu życia i myślenia. Dlatego tym cięższa i bardziej wartościowa jest walka jaką toczyliśmy sami ze sobą. Niejednokrotnie odmawiamy sobie uroków życia, pójdźmy na łatwiznę, wejść do systemu poprzez małe kompromisy, które zawsze kończą się tak samo – na końcu pasma kompromisów nie możemy sami się poznać. Tak dalece ponowoczesność wpływa na nasze życie. Bywa tak, że musimy płacić konsekwencjami za pozostawanie wiernym sobie i swoim ideałom. Tracimy pracę, odwracają się od nas znajomi i przyjaciele, nie możemy rozwinąć skrzydeł na uczelni, bo kanon nie przewiduje innego punktu widzenia. Można tak wymieniać bez końca. Pewnie większość z nas wie o czym piszę. To popadanie w swoistą alienację prowadzi słabsze charaktery do próby godzenia drogi nacjonalisty z realiami życia. Jednak szybko kończy się to początkowo nieświadomym i powolnym, akceptowaniem wszystkiego tego, co na początku naszej walki tak nas raziło. Tym bardziej musimy zawsze pamiętać, że każdy i każda z nas jesteśmy jak partyzanci buszujący na tyłach wrogiej armii. W bezpośrednim starciu jesteśmy jeszcze bez szans, ale nie oznacza to, że nasza walka jest beznadziejna. Kiedy wygrywamy ze sobą, ze swoimi słabościami, z chęcią przypodobania się tym którzy rozdają karty, wtedy dopiero, możemy być pewni, że od zepsucia, sprowadzenia na manowce odgradza nas „kurwoodporna szyba”.

Aspekt zewnętrzny naszej walki to już wszelkie przejawy naszej idei, widoczne dla społeczeństwa. Od aktywizmu ulicznego, przez wykłady, działalność charytatywną i społeczną, aż do udziału w elekcjach. Nasza walka od tej strony to także środowiskowa

kultura, klimat, pochwała aktywizmu, karność, militarizm czy hierarchiczność - wszystko to widziane oczami kogoś, kto pierwszy raz ma styczność z nacjonalizmem musi działać jak terapia szokowa, pokazująca ludziom, że można żyć, myśleć, funkcjonować w społeczeństwie, ale na innych zasadach. Niejako równoległe do tego oficjalnego społeczeństwa. Trzeba być zawsze przykładem aktywisty. O wiele trudniej przychodzi nam zbudować pozytywny wizerunek niż zniszczyć go nieodpowiedzialnym zachowaniem, czy chwilą słabości. Najważniejsze jest jednak być po prostu przykładem i inspirować tych „uśpionych” do zerwania kajdan i stanięcia z nami w jednym szeregu. Każdy z nas jest swoistym misjonarzem narodowego radykalizmu i poprzez swoje zaangażowanie, uczciwość, czyste sumienie i silną wolę może być tym, który porwie za sobą kolejnych ludzi do naszej walki. Wielowymiarowość zewnętrznego aspektu naszej walki opiera się na jej wewnętrznym fundamencie. Człowiek, który pokona siebie, będzie w stanie poświęcić to co dla niego drogie, stając się inspiracją dla kolejnych.

Poprzez zwycięstwo nad sobą, do zwycięstwa w Narodzie.

Aleksander Krejckant

Globalizacja kulturowa oraz jej wpływ na nasz naród

Obecny, ciągle postępujący rozwój procesów globalizacji, doprowadził do tego iż, rozpoczął się i nie zanika globalizacja kulturowa. Ów proces należy głównie rozumieć poprzez wskazanie na konkretne skutki, jakie wywiera kompresja czasoprzestrzenna oraz rozejście się dwóch elementów: kultury i lokalności. Pierwszy element czyli lokalność rozumie się przede wszystkim w kategoriach ulokowania w przestrzeni, przypisania do konkretnego miejsca, które składa się na swoistą enklawę kulturowych i społecznych partykularyzmów, definiuje zakres doświadczeń życiowych jednostki oraz ma znaczenie przy konstruowaniu jej tożsamości¹. Drugim elementem jest kultura a raczej precyzując kultura regionalna, która z racji swej nazwy odnosi się do poszczególnego regionu, będąc przy tym częścią składową kultury narodowej. W wyniku opisywanego przeze mnie procesu, owe kultury ludowe ulegają zapomnieniu i są zastępowane przez kulturę globalną.

Ów proces wytworzył w lokalnych społecznościach silniejszą potrzebę „odzyskania domu”, poczucia bezpieczeństwa, ponownego usytuowania w konkretnej przestrzeni lokalnej. Potrzeba ta znajduje wyraz w działaniach ukierunkowanych na poszukiwanie podstaw własnej odrębności oraz budowania lokalnej tożsamości i powtórnego zakorzenienia w danym środowisku.

W Polsce występuje mnóstwo regionalnych kultur, ale to nie czas do ich osobnego omówienia. Wpływ jaki wywarła na nie globalizacja kulturowa jest znaczny. Albowiem zjawisko reterytorializacji dotknęło terenów Warmii i Mazur, Śląska Opolskiego, Bieszczadów i innych rejonów pogranicznych. Na tych obszarach również da się odczuć przejawy inicjatyw, mających na celu nadanie własnej przestrzeni lokalnej szczególnych znaczeń i wartości. Dokonuje się to m.in. za sprawą takich działań, jak odnoszenie się do przeszłości i tradycji (np. poprzez organizację festiwali czy tworzenie różnego rodzaju towarzystw), wiązanie własnej miejscowości z charakterystyczną dla niej działalnością artystyczną czy też uczynienie z jakiejś postaci bohatera danej społeczności. Te działania pokazują że z globalizacją kulturową nie tylko można walczyć skutecznie, a wręcz trzeba. Gdyż nasza kultura narodowa tylko straci, jeśli zaniknie w narodzie pamięć o kulturach ludowych ze wszystkich regionów Polski. Tym bardziej, że za najbardziej niekorzystne skutki globalizacji w sferze kultury uznaje się m.in. unifikację przekazywanych przez elektroniczne media treści i wzorów stylów życia oraz zmniejszające się występowanie bezpośrednich kontaktów między ludźmi. Dlatego nasz naród powinien być dalej zmotywowany i zwycięsko

¹ *Popularna Encyklopedia Mass Mediów*, red. J. Skrzypczak, Poznań: Wydawnictwo Kurpisz 2000, s. 162.

zwalczać globalizację kulturową, która na szczęście negatywnego wpływu jak na razie nie wywarła. Mam tu na myśli wpływ na polskie regionalne kultury. Choć niepokojące jest to, iż kultura globalna wdziera się coraz skuteczniej do świadomości młodych Polaków, którzy używają dla przykładu angielskich odpowiedników polskich słów w codziennych sytuacjach. Tę tendencję trzeba zlikwidować prostą drogą. Poprzez poprawne używanie polszczyzny, stosując często synonimy prostych słów, aby pokazać dzisiejszemu pokoleniu, że polski język jest atrakcyjniejszy od języka angielskiego czy amerykańskiego, które od dawna są językami kultury uniwersalnej.

Kacper Sikora

Globalizacja kulturowa oraz jej wpływ na nasz naród

Obecny, ciągle postępujący rozwój procesów globalizacji, doprowadził do tego iż, rozpoczął się i nie zanika globalizacja kulturowa. Ów proces należy głównie rozumieć poprzez wskazanie na konkretne skutki, jakie wywiera kompresja czasoprzestrzenna oraz rozejście się dwóch elementów: kultury i lokalności. Pierwszy element czyli lokalność rozumie się przede wszystkim w kategoriach ulokowania w przestrzeni, przypisania do konkretnego miejsca, które składa się na swoistą enklawę kulturowych i społecznych partykularyzmów, definiuje zakres doświadczeń życiowych jednostki oraz ma znaczenie przy konstruowaniu jej tożsamości¹. Drugim elementem jest kultura a raczej precyzując kultura regionalna, która z racji swej nazwy odnosi się do poszczególnego regionu, będąc przy tym częścią składową kultury narodowej. W wyniku opisywanego przeze mnie procesu, owe kultury ludowe ulegają zapomnieniu i są zastępowane przez kulturę globalną.

Ów proces wytworzył w lokalnych społecznościach silniejszą potrzebę „odzyskania domu”, poczucia bezpieczeństwa, ponownego usytuowania w konkretnej przestrzeni lokalnej. Potrzeba ta znajduje wyraz w działaniach ukierunkowanych na poszukiwanie podstaw własnej odrębności oraz budowania lokalnej tożsamości i powtórnego zakorzenienia w danym środowisku.

W Polsce występuje mnóstwo regionalnych kultur, ale to nie czas do ich osobnego omówienia. Wpływ jaki wywarła na nie globalizacja kulturowa jest znaczny. Albowiem zjawisko reterytorializacji dotknęło terenów Warmii i Mazur, Śląska Opolskiego, Bieszczadów i innych rejonów pogranicznych. Na tych obszarach również da się odczuć przejawy inicjatyw, mających na celu nadanie własnej przestrzeni lokalnej szczególnych znaczeń i wartości. Dokonuje się to m.in. za sprawą takich działań, jak odnoszenie się do przeszłości i tradycji (np. poprzez organizację festiwali czy tworzenie różnego rodzaju towarzystw), wiązanie własnej miejscowości z charakterystyczną dla niej działalnością artystyczną czy też uczynienie z jakiejś postaci bohatera danej społeczności. Te działania pokazują że z globalizacją kulturową nie tylko można walczyć skutecznie, a wręcz trzeba. Gdyż nasza kultura narodowa tylko straci, jeśli zaniknie w narodzie pamięć o kulturach ludowych ze wszystkich regionów Polski. Tym bardziej, że za najbardziej niekorzystne skutki globalizacji w sferze kultury uznaje się m.in. unifikację przekazywanych przez elektroniczne media treści i wzorów stylów życia oraz zmniejszające się występowanie bezpośrednich kontaktów między ludźmi. Dlatego nasz naród powinien być dalej zmotywowany i zwycięsko

¹ *Popularna Encyklopedia Mass Mediów*, red. J. Skrzypczak, Poznań: Wydawnictwo Kurpisz 2000, s. 162.

zwalczać globalizację kulturową, która na szczęście negatywnego wpływu jak na razie nie wywarła. Mam tu na myśli wpływ na polskie regionalne kultury. Choć niepokojące jest to, iż kultura globalna wdziera się coraz skuteczniej do świadomości młodych Polaków, którzy używają dla przykładu angielskich odpowiedników polskich słów w codziennych sytuacjach. Tę tendencję trzeba zlikwidować prostą drogą. Poprzez poprawne używanie polszczyzny, stosując często synonimy prostych słów, aby pokazać dzisiejszemu pokoleniu, że polski język jest atrakcyjniejszy od języka angielskiego czy amerykańskiego, które od dawna są językami kultury uniwersalnej.

Kacper Sikora

Kwestia obchodzenia świąt i rocznic przez nasz naród

W II Rzeczypospolitej już rok po jej powstaniu, ustanowiono Święto Narodowe Trzeciego Maja, które miało charakter dnia wolnego od pracy. Drugie państwowe święto jakie wdrożono w okresie międzywojennym, było obchodzone 11 listopada, Święto Niepodległości, utworzone w 1937 roku.

Po II Wojnie Światowej, nowe władze Polskiej Republiki Ludowej zmieniały katalog świąt państwowych. Już w 1945 roku ustanowiono Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności, obchodzone 9 maja, na cześć zakończenia II wojny światowej, oraz Narodowe Święto Odrodzenia Polski, obchodzone w dniu 22 lipca, na pamiątkę ogłoszenia Manifestu PKWN, jednocześnie uchylając ustawę z 1937 r. o Świącie Niepodległości. Święto 3 Maja nie zostało formalnie zniesione, lecz urzędowe uroczystości były ograniczone lub znikome. Natomiast w 1950 roku ustanowiono ponadto święto państwowe w dniu 1 maja .

W związku z powstaniem III Rzeczypospolitej , w 1989 roku przywrócono święto 11 Listopada oraz zniesiono Narodowe Święto Odrodzenia Polski. W 1990 roku przywrócono Święto Narodowe Trzeciego Maja. Kolejne święto ustanowiono dopiero po kilkunastu latach, albowiem w 2005 roku uchwalono ustawę ustanawiającą Dzień Solidarności i Wolności, a cztery lata później 2009 roku ustanowiono Narodowy Dzień Pamięci Powstania Warszawskiego. Listę świąt państwowych zamyka jak na razie ostatecznie Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”, ustanowiony w 2011 roku.

Pokróćce przedstawiona przeze mnie historia naszych przyjmowanych, uchylanych, kasowanych oraz przywracanych świąt państwowych, wprowadza w temat kwestii świętowania owych świąt przez nasz naród i czy ma szanse on się zmienić.

Dziś to wygląda fatalnie. Większość naszego narodu, po symbolicznych obchodach, jeśli o nich pamiętają lub zdecydują się w nich uczestniczyć, kończą je nieumiarkowanym obżarstwem, piciem alkoholu czy paleniem tytoniu. Warto sobie zadać pytanie. Czemu tak się dzieje?

Po pierwsze są to wydarzenia emocjonalne. W przypadku obecnych polskich świąt określenie ich jasno jako pozytywne czy negatywne. Trudno czuć na przykład radość z powodu Święta Niepodległości, skoro dziś nie mamy niepodległego kraju ale też przez szacunek i uczczenie pamięci wobec tych, którzy walczyli o to, by Polska ponownie pojawiła się na mapie Europy trzeba zachować powagę. Podobna sprawa tyczy się Święta Konstytucji

3 maja , która mimo swojego ustanowienia, nie została wprowadzona w życie. Powstanie Warszawskie pomimo szczytnych celów poniosło porażkę, przez źle wybrany moment jego rozpoczęcia, ale znowu pozostaje kwestia pamięci prostych żołnierzy i ludności cywilnej, która przez to ucierpiała, to samo tyczy się Żołnierzy Wyklętych, dzielnie walczących z wrogimi władzami PRL. Jedynie kwestia Święta Wojska Polskiego i jednoczesnego obchodzenia rocznicy Bitwy Warszawskiej, jest dla mnie zrozumiała i jasno określona jako pozytywna. Wobec innych sądzę iż są jak gombrowiczowski Juliusz Słowacki – mają zachwycać, choć tego nie robią. Dla większości narodu są one jedynie kolejnymi wolnymi dniami od pracy.

Uważam zatem że, aby sprawić iż Polacy, na pewno nie od razu ,ale zaczną zmieniać sposób obchodzenia świąt państwowych, trzeba wybrać jednoznaczne, zwycięskie daty w historii Polski. Wtedy bowiem pomału odbuduje się duma narodowa Polaków i przekonanie iż „nie tylko przegrywaliśmy lecz i wygrywaliśmy”. Dlatego kultywowanie porażek powinno zostać zniesione i zastąpione kultywowaniem zwycięstw. Tym, co mnie jeszcze zadziwia, jest jak kultywuje się Powstanie Warszawskie, a nie jedyne cztery w pełni zakończone sukcesem powstania : Powstanie Wielkopolskie z 1806 roku , Powstanie Sejneńskie z 1919 roku, Powstanie Wielkopolskie z lat 1918-1919 oraz II Powstanie Śląskie. Jeśli już upamiętniać jakiegokolwiek powstania to tylko takie.

Tak samo sposób obchodzenia tych świąt powinien być jednoznaczny, nie powinny być to libacje, których pretekstem jest owa rocznica, lecz poważne potraktowanie sprawy, czyli uczczenie pamięci poległych, pójście do kościoła, spędzenie czasu z rodziną, oglądając dla przykładu filmy dotyczące danej rocznicy. Dając tym postępowaniem przykład, że alkohol nie jest potrzebny by godnie świętować.

Kacper Sikora

Opoki

W prześmiewczej koronie z tuzina gwiazd złotych

na sprzedanej ziemi, po łokcie w pomyjach

napinasz znów mięśnie by mieczem i młotem

wciąż miażdżyć opoki powszednich barykad

Sprzedany za stołki i obcą walutę

- nie tobie budować pomniki twej nacji

lecz sypiąc swój kurhan pić wino zatrute

ku własnych snów śmierci i obcych sił racji

Ty w wiecznej obawie przed wichrem ze Wschodu

uciekasz przed sierpa wciąż żywym wspomnieniem

i wprost do bezkresu wbiegasz korowodu

beziemiennych cieni, by sam zostać cieniem.

Więc z młotem tyrając, na obcy kapitał

zadajesz pytanie, gdy gonisz za chlebem

- wygnanym na zmywak ci Panem Cogito

być przyjdzie, czy bezrobotnym Winkelriedem.

Wnet z błękitu nieba, kompasowa róża

w sumienie cię kłuje, do miecza znów woła

byś szedł ciskać gromy w bratobójczej burzy

i wśród płaczu dzieci, w ich matek krwi konał.

Wiedz, to co zwą różą, prorocy z Zachodu

jest ci celownikiem, wprost w pierś wymierzonym

by grunt spod stóp zabrać twojego narodu

i w obcych usypać go sił poligony

Bo jeśli dołączysz do hord ich służalczych,

twe ciało przemielą chciwymi szczękami

a krwią twą napoją psubratów poddańczych
co zwa się twoimi reprezentantami
A jeśli odmówisz, zdradzieckie gargulce
rzygać będą brudem na twe dobre imię
i krzyk twój wieczystym im będzie budulcem
pod złote ich grzędy gdzie żrą swą padlinę.
Więc obnażaj prawdę, powszedni Rejtanie
marszcz posępnie czoło, Stańczyku wśród zdrajców
bo wiesz, że kamieniem rzuconym na szaniec
zostaniesz. Leć celnie , codzienny powstańcu.

Aleksandra Radlak

W przeddzień wojny

Budzisz się, krzyżąc, nad zwęglonym truchłem

a dłoń twoja płonie tętniącą czerwienią

Powieki ciężą, klejące, opuchłe

ktoś wrzeszczy : „odwrót!”

nie słyszysz...

ogłuchłeś.

Nie możesz oddychać, i dusisz się wrzaskiem

kurz, biały popiół, i spalona skóra

Dłoń kamienieje, nakryta piachem

ktoś ciągnie za rękaw

ktoś zniknął

ktoś umarł.

Pamiętasz swój sen, gdzie pochód wspaniałych

żołnierzy przeszedł przez miasto w mundurach

błyskali zębami, obcymi flagami

flesz świecił w szarość

Kobiety

płakały

Ktoś relacjonował, ktoś rzucał kwiatami

sojusznik zza morza pozował do zdjęcia

gdy głaskał ulice obcymi czołgami

i wymachiwał

gwarancją
zwycięstwa

„Oj, nie rób nam wstydu” – matka syczała
i fabryczną skazę biało-czerwoną
ścierała ci z kurtki mokrymi palcami
”Podziękuj, bo oni
tu przyszli
na pomoc”

Budzisz się, krzyżąc, nad spalonym truchłem
a dłoń twoja płonie tętniącą czerwienią
Powieki ciężą, klejące, opuchłe
ktoś wrzeszczy : „odwrót!”
nie słyszysz...
ogłuchłeś.

Spod zwęglonych powiek, jasnymi oczyma
pyta cię truchło : „dlaczego ja, bracie?”
Sojusznik od tyłu ci gardło podrzyna...

przelicza niemo
monety
i akcje.

Aleksandra Radlak

Dziecięcy przewrót

Utwór ten dedykuję pewnej artystce, która znana jest szerzej ze swej zbrodni. Zauważyłem w niej emanację Ducha Zniszczenia, bardziej doskonałą niż u bohatera tej historii. Wymienione emanacje nie były dość dojrzałe, by wzbudzić powszechny szacunek. Wkrótce nadejdzie ta najwłaściwsza, co sięgnie po władzę nad upadłą Europą.

Zaduszki

Beztróskie lato zastępuje surowa jesień. Drzewa zrzucają liście, żółkną trawy, niebo blednie. Nad ziemią unosi się mgła. Przyroda żegna się z upojnym życiem i woła: „Niech żyje śmierć!”. Według Tradycji w owym czasie duszy zmarłych zstępują do świata żywych. Przypominają o tym do dziś płomienie zniczy. Rodziny odwiedzają krewnych. Naród czci poległych. Kościół modli się do męczenników. Czasem zdarza się, że duchy wchodzą z ludźmi w bliższe relacje.

Pewna rodzina zawitała właśnie na cmentarz. Znajdował się on w małym miasteczku, niedaleko ich leśnej działki. Przyjechali z wielkiego miasta z wizytą do nieżyjących dziadków. Postawili znicze, odmówili modlitwy, po czym wysłali jedenastoletniego syna, aby wyrzucił zwiędłe kwiaty. Szedł w zadumie, patrząc na ciemną linię lasu, płomienie pod krzyżami, nadchodzący zmierzch. Po paru metrach doszedł do altany śmietnikowej. Wyrzucił śmieci. Już miał wracać, gdy coś go zatrzymało. Było to pudełko od zapalek. Otworzył – jedna sztuka. Znalezisko powędrowało do kieszeni.

Poniedziałek

W szkole od początku roku panowały złe nastroje. Wtedy funkcję ministra edukacji pełnił Roman Giertych. Jego zarządzenia budziły kontrowersje: obowiązek noszenia mundurków, monitoring, program „zero tolerancji – maksimum strachu”. Praktycznie wszyscy narzekali na nowe porządki.

Nasz bohater od pierwszej klasy interesował się historią. W szczególności imponował mu Napoleon. Pragnął podbijać świat, a wcześniej wywołać rewolucję. W przeciwieństwie do innych dziecięcych marzeń, to nie chciało ani na chwilę przeminąć. Uciskanych kolegów postanowił poprowadzić do buntu.

Wszedł do męskiej łazienki. Na szczęście nie było nikogo. Przerwa trwała w najlepsze. Nabrał papieru toaletowego tyle, ile mieściło się do muszli. Wrzucił wszystko, a na to płonąca zapalną. Razem z pudełkiem

- Proszę pani! Pali się!

- Żartujesz...

- Chodź, zobacz! Pani zobaczy!

Weszli do łazienki. Uczeń wskazał kabinę. Nauczycielka, z wyrazem niedowierzania na twarzy, spojrzała tam. Sedes wypełniał czarny stos. Żar ogarniał kawałki papieru. Do góry szedł dym. Piekielny swąd wypełniał pomieszczenie.

- Boże... Boże, ugaście to!

W jednej chwili zebrał się tłum. „Szkoła się pali! Szkoła się pali” Czy pedagodzy panowali nad sytuacją? Co płonęło bardziej: papier czy dziecięce umysły? Wszyscy zadawali sobie pytanie, kto to zrobił.

Nadeszła odsiecz. Kadra szkolna przyglądała się zjawisku. Kobieta spuściła wodę, po czym spojrzała groźnie na tłum:

- KTO PODPALIŁ TOALETĘ?

Zwykle ze strachu sprawca się szybko przyznawał. Tym razem tak się nie stało. Osiągnął taką determinację, by zapanować nad sobą. Przeczekał do końca przerwy. Słuchał rozmów, plotek, apeli. Delektował się atmosferą. Atmosferą upragnionej rewolucji.

Czwartek

Przez najbliższe dni w szkole nic się nie działo. Nikt nie obalił dyrekcji, mimo obrywania punktów z zachowania za brak mundurka. Krążyły pogłoski o rychłej instalacji monitoringu, a nawet o czipowaniu. Należało zaciskać pętlę terroru, aby w szkole reżim się tak zaostrzył, że wybuchłaby rebelia. Rewolucjoniści aresztują dyrekcję, przejmą władzę nad społecznością, po czym zarządzą marsz na pałac Giertycha.

Buntownik bez trudu wygrzebał z oszczędności srebrną złotówkę. We czwartek zjawił się z pełnym pudełkiem. Po pierwszej lekcji postanowił powtórzyć atak. Tym razem zniszczenia miały być bardziej dotkliwe.

- Pali się!

Znów zebrał się tłum. Wezwano pedagoga. „Ktoś chce podpalić szkołę!”. Od następnej przerwy toaleta męska miała być zamknięta. Chłopcy będą z niej korzystać tylko pod nadzorem pani woźnej. „O to chodzi! O to chodzi!” Istny stan wojenny.

Nauczyciele wiedzieli, że mają do czynienia z psychopatą. Wszak to szkoła integracyjna! Jednak do tej pory nie spotkali się z czymś podobnym.

Kolejne podpalenie! Tym razem w damskiej toalecie. Zajął się cały składzik. Czarny, gryzący dym pożerał szmatki. Obok stały środki chemiczne.

- Odsunąć się! Wszyscy! Trujące!

Woźna chwyciła wiadro. Napelniła wodą. Kilka ruchów i po kłopotcie. Wszystkiemu przyglądała się dyrekcja.

- Mógł wybuchnąć pożar.

- Zamknąć tę łazienkę!

Na lekcji w-f chłopcy nie opuścili przebieralni. Wszyscy rozmawiali o podpaleniach. Uczniowie z ekscytacją, nauczyciele próbowali dojść do sprawy. Wzywano do przyznania się, grożono konsekwencjami. W pewnym momencie do drzwi zapukało dwóch szóstoklasistów.

- Proszę pana, jutro nas nie będzie na zajęciach.

- Co się stało?

- Idziemy na komendę. Podpalano kible.

- To znaczy nie my podpalaliśmy. Ale myślą, że to my. Gimnazjaliści już byli przeszukiwani.

Podpalacz schował pudełko w skarpetę.

- To ty podpalałeś? – szepnął mu kolega.

- Nie, to nie ja.

- Ale dobry przypał.

Ledwo zabrzmiał dzwonek na przerwę, na piętrze maluchów zabrzmiał krzyk.

- O fu! Fúj! Śmierdzi spaloną gumą!

Za drzwiami syczał się dym. Toalet dla klas I-III nikt nie sprawdzał. Teraz zaatakowano im śmietnik. Żar pożerał folię. Będzie mniej śmieci do wynoszenia.

Akurat przechodziła wychowawczynie z grupą pierwszaków. Na oczach przestraszonych dzieci nabierała wody w ręce, by zalać ogień. Zbiegli się reprezentanci starszych klas, gimnazjum, nauczyciele.

Chwilę później w klasie czwartej zabrzmiała komenda:

- Proszę wyjąć z plecaków wszystko, co macie.

- Przeszukanie?

- W szkole?

- Tak nie można!

- Cisz! To nie jest przeszukanie. Po szkole grasuje podpalacz. Nie wiemy, kim jest ta osoba. Jeśli ktoś nie otworzy plecaka, będzie podejrzany.

- A jeśli go złapią?

- Prawdopodobnie zostanie mu, albo jej bardzo obniżone zachowanie. Nie wiem, czy zostanie w naszej szkole.

Sprawca razem z innymi opróżnił plecak. Modlił się w duchu, żeby rewizja na tym się skończyła, a już nie pewno nie szukali po nogach.

- Słyszałam – zaczęła koleżanka – że w starszych klasach byli przeszukiwani.

- Podpalenie – ciągnęła wychowawczyni. – To poważna sprawa. Ten ktoś naraża na niebezpieczeństwo całą szkołę. Nie wiem, kim jest ta osoba. Sprawdzamy was profilaktycznie. Są głosy, aby wezwać policję.

Po lekcji toczyła się rozmowa rodziców podpalacza z rehabilitantką. Był bardzo chwalony za grzeczność, inteligencję, obowiązkowość. Wszystkiego słuchał z uśmiechem. Nagle poprosił o możliwość pójścia do toalety.

- Oczywiście.

Skierował się do łazienki. Nauczycielka rozejrzała się. Westchnęła. Niemal na palcach poszła za uczniem. Ten stał przed kabiną, z porcją papieru. W ręku miał zapalki.

Epilog

Rozprawa małego rewolucjonisty odbyła się za zamkniętymi drzwiami dyrekcji. Jeszcze następnego dnia uczniowie spodziewali się podpaień. Sprawcy nie wydano ze szkoły. Zachował nawet stanowisko przewodniczącego klasy. Poza obniżeniem sprawowania, wykluczono go z wigilii klasowej. W szkole jeszcze długo pamiętano o tych wydarzeniach.

Istnienie od egzystencji odróżnia działanie. Czasem aktywność ujawnia się w nieodpowiednim miejscu lub czasie. Mimo to lepiej przesadzić, niż niedopatrzyć.